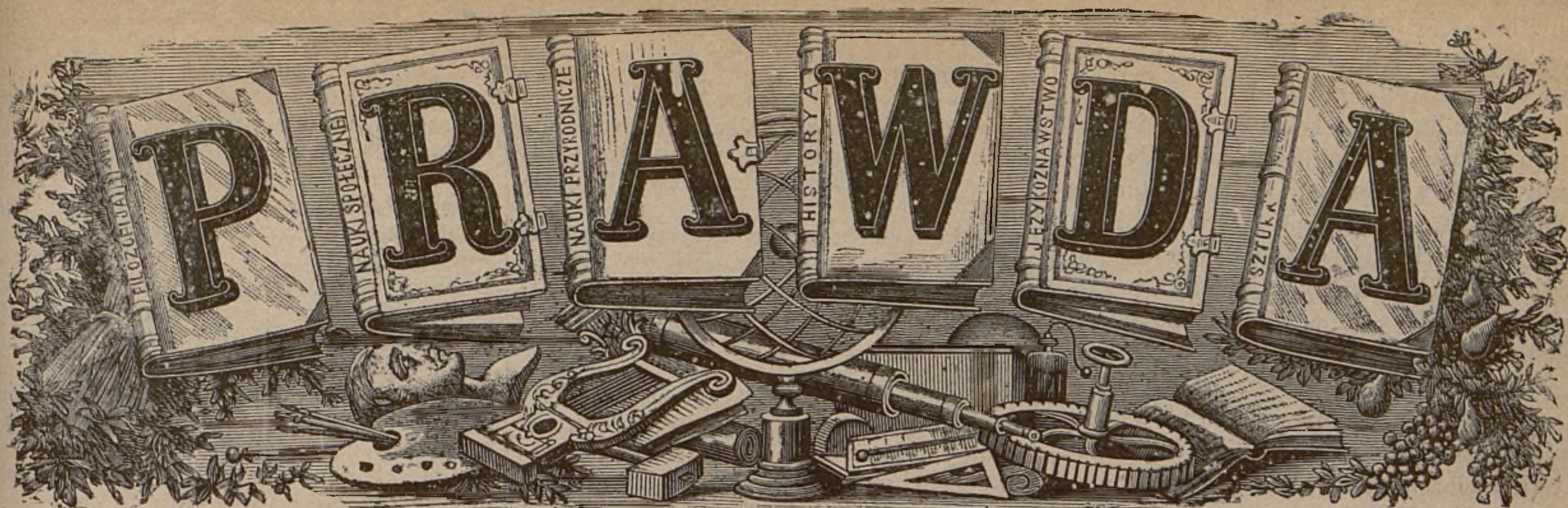
№ 42. Warszawa, dnia 20 (8) Października 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Babie lato. — Familia polityczna p. A. Witskiego.—Tydzień polityczny. — Bulanżysta p. Cecylię Walewską. — *Sprawy ekonomiczne*: Spółki przemysłowo-rolnicze. Cukrownictwo p. Drogomira.— Prośba kupców z Niżnego-Nowgorodu p. Z. P. — *Życie społeczne*: Dobry początek.— *Badania naukowe*: Badania nad gruźlicą p. K. B. — Kartki naukowo-estetyczne. — *Literatura i sztuka*: Cezar Correnti.— *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — O prawdę: Z Rygi p. B. S. — Broszura M. Mackenziego. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

BABIE LATO.

Pogłoska przez pewien czas uparcie wiązała sprawę świeckich roszczeń papieża z podróżą Wilhelma II do Rzymu. Odgadywano, że kard. Galimberti, wyprobowany majster dyplomatyczny, usnuł w Wiedniu pierwsze zadziergi układów, które w Watykanie i Kwirynale wysnują się do pożądanego końca. Wieść tę wkrótce wyparła inna, donosząca, że Leon XIII podczas dwudziestominutowej rozmowy z monarchą niemieckim kilkakrotnie podejmował nić swojego władztwa świeckiego, ale gość ciągle przecinał ją innymi przedmiotami. Zrobiono słuszną uwagę, że i ostatni ten domysł jest plotką już wobec samej natury tego rodzaju spotkań, których przebieg bywa najściślej zgóry określony. Papież mówił z cesarzem tylko o tem, o czem obaj przez swych pełnomocników mówić postanowili. Ale nie potrzebujemy wcale uciekać się do przypuszczeń logicznych, gdyż dość jasne światło pada od faktów. Jakkolwiek podróż włoska Wilhelma II obwarowaną została przeróżnemi zastrzeżeniami etykiety, uwzględniającemi słabostki Watykanu, jakkolwiek mieszkanie u posła i użycie jego karety podtrzymywało pozory uznania dla roszczeń władczych „Namiestnika Chrystusowego," nawet jezuickim wykrętem niepodobna zgładzić tego faktu, że cesarz niemiecki już samem przybyciem do Rzymu dla pozdrowienia króla Humberta, stwierdził prawomocność jego posiadania byłej dziedziny papieskiej. Monarcha, któryby chciał dogodzić Leonowi XIII, zrobiłby tak, jak austryacki, byłby gotów wszędzie odwiedzić króla włoskiego, byle nie w Rzymie. Nie dość na tem. Zdziwiło nas niezmiernie, że pewien znamienny szczegół nie uderzył opinii publicznej, mianowicie jedno znaczące słówko w toastach. Król włoski, pijąc zdrowie gościa, wspomniał o swojej „stolicy" — i cesarz niemiecki, dziękując za uroczyste przyjęcie, wyróżnił także „stolicę." Słówko to musiało bardzo smutnem echem odbić się od ścian Watykanu. W rozmowie z sobą Leon XIII niezawodnie pomyślał: cóż z tego że Wilhelm II zamieszkał u swego posła i przyjechał do mnie jego karetą, kiedy uznał, że Rzym jest stolicą Włoch? Rzeczywiście, na tym jednym wyrazie rozprysła się, jak bańka mydlana, cała fikcya, którą usiłowano otoczyć podróż cesarza niemieckiego, potargały się wszystkie misternie dziergane wątki ceremoniału, wszystkie zabiegi Galimbertich i pajęcze siatki dyplomacyi watykańskiej. Naga rzeczywistość, zrzuciwszy mozolnie utkane osłonki, stanęła przed papieżem z całą swą prawdą. „Czynów z progu przeszłości sam Bóg nie odwoła" — powiedziała nasza pobożna wieszczka, a gdyby znał te słowa Leon XIII, powtórzyłby je sobie, usłyszawszy owe złowrogie dla niego toasty. Może on jeszcze otulać zranione serce pociechą, że Wilhelm II jest protestantem, nieobowiązanym tak subtelnie odczuwać krzywd głowy Kościoła, że Franciszek Józef jednakże opiera się dotąd przybyciu do Rzymu, ale wszystko to są balsamy, nieuśmierzające głębokiego bólu. Bo ów Wilhelm II, który pozdrawia stolicę Włoch i wieńczy grób Wiktora Emanuela, zdobywcy państwa papieskiego, jest także monarchą 16 milionów katolików, jako sprzymierzeniec króla włoskiego dodaje mu siły i odwagi i rozbraja wszelkie sympatye dla powrotu władzy świeckiej Namiestnika Chrystusowego. A sympatye te są nadzwyczajnie szczupłe, gdyż ograniczają się jedynie do ultramontańskich kół arystokracyi europejskiej i sfanatyzowanego w różnych krajach ludu. Tym zastępem Leon XIII nawet wązkiego „języka" nad Tybrem sobie nie wywalczy i pozostanie do końca życia dobrowolnym więźniem. Sądził on, że usługami dla rządu niemieckiego, orderami dla kanclerza, poświęceniem mu na ofiarę milionowego stada swych owieczek, wreszcie grą dyplomatyczną zyska poparcie Niemiec i z ich pomocą przeprowadzi z muzeum do życia swą między anachronizmami wieku spoczywającą władzę; po bytności Wilhelma II przekonał się, że był to tylko sen fantastyczny, a może dziś żałuje przegranych stawek. Boć chyba wie, że śród swych wiernych

stracił wiele szacunku, czci i ufności, że oni mu nie wierzą tak bezwzględnie, jak Piusowi IX, że z ich piersi wydarło się niejedno bolesne westchnienie na jego rządy. W epoce militaryzmu tylko doraźne i przechodnie znaczenie mają dwa palce do błogosławieństwa złożone, listy pasterskie i bulle. To już dziś nie są środki tej potęgi, co w wiekach średnich lub na początku nowych. Praktyczny polityk posługuje się jeszcze nimi chwilowo, ale piorun ze Stolicy apostolskiej rzucony już dziś nikogo nie druzgocze a błogosławieństwo stamtąd spływające nikogo siłą nie zaopatruje. Jeżeli tedy w ręku Leona XIII spoczywało udaremnienie podróży cesarza niemieckiego do Włoch, przerachował on się bardzo, dopuściwszy ją. Każdem słowem, każdym krokiem Wilhelm II świadczył, że istniejące położenie uznaje za pewne i trwałe, że do radykalnej zmiany stosunków na korzyść papieża ręki nie przyłoży. Na Kapitolu dla upamiętnienia jego odwiedzin wmurowano tablicę, w której wyrażono, że oba państwa, Włochy i Niemcy, podobnymi wysiłkami osiągnęły swój cel. Jest to odpowiedź i przestroga, jaką cesarz niemiecki zostawił Leonowi XIII, który z niej wyczytał: „point de reveries.“ Babie lato władzy świeckiej papieża okrutny los porwał i odmuchnął.

FAMILIA POLITYCZNA.

Stało się!

Nagle i niespodziewanie wieczorny numer rządowej *Wiener Ztg* w dniu 12 b. m. obwieścił zdziwionym obywatelom monarchii austro-węgierskiej, z tej strony Litawy mieszkającym, że baron Floryan Ziemiałkowski, długoletni minister dla Galicyi, na własne żądanie został uwolniony od tych obowiązków. Jednocześnie na jego miejsce powołano dotychczasowego namiestnika Galicyi, Filipa Zaleskiego. Równoległem korytem popłynęły zmiany, tyczące się drugiego narodu słowiańskiego, Czech. Dr. Pražak, który zajmował stanowisko i ministra sprawiedliwości i ministra bez teki dla Czech, zrzekł się pierwszej godności; hr. Schönborn, namiestnik Morawy, zastąpił jego miejsce. Odrazu tedy można orzec, że owe nominacye zmieniły duchowe oblicze całego gabinetu i to, jak niżej udowodnimy, w kierunku wstecznictwa ultramontańskiego.

Skąd one pochodzą, trudno na razie zbadać. Wszelkie domysły mogą być dzisiaj podobnymi jedynie do dwuznacznej wyroczni delfijskiej. Dopiero po skutkach poznamy istotną przyczynę. Mimowoli przecież każdy zwraca uwagę na tajemniczą nić, która wiąże odwiedziny cesarza Wilhelma w Wiedniu, wspólne prace obu cesarzów w Mürzusteg i owe dymisye, piorun z pogodnego nieba, w dwa dni po powrocie Franciszka Józefa ze styryjskiego zameczku. Kto wie tedy, czy nie ukuto go podczas tych słotnych dni, pierwotnie przeznaczonych na polowanie.

O Ziemiałkowskim w ostatnich latach było głucho. Nazwisko jego czytywano śród spisu gości, zapraszanych na dworskie lub ministeryalne bale i obiady, widywano go na ministeryalnym fotelu w Radzie państwa i Izbie panów, dzienniki donosiły, kiedy wyjechał i powrócił z letniego mieszkania do Wiednia — i na tem koniec. O jego działalności milczano. Tylko galicyjskie gazety barwy stańczykowskiej od czasu do czasu zaręczały, że minister w skrytości pracuje dla kraju. Lecz podobno nasienie, rzucone w ziemię, jeżeli jest tylko jędrne i zdrowe, wydaje po pewnym czasie piękny owoc. Tu ani owoców ani kiełkowania nawet widać nie było. A prawda, pojawił się plon! Przed kilku laty Ziemiałkowski za swe zasługi otrzymał tytuł barona.

Wstyd powinien był zarumienić, a nawet spalić to czoło, gdy po raz pierwszy uczuło na sobie dotknięcie siedmiopałkowej korony. Było to zaparcie się całej przeszłości, był to kamień potępienia, rzucony na dawną działalność. Niegdyś demokrata, trybun stanu trzeciego, ongi nawet stronnik centralizacyi, prezydent postępowego miasta Lwowa, poniżył się do tego stopnia, że stał się sługą i podnóżkiem arystokracyi, jej szarym ogonem.

W samej rzeczy dziwną koleją połączyły się losy tego adwokata lwowskiego. Za młodu był członkiem towarzystw, mających na celu podniesienie warstwy ludowej i złamanie przewagi szlachty. Później dostał się pod dozór policyi, która śledziła każdy jego krok. Jeszcze później uwolnił się od tej opieki i poświęcił się wyłącznie swemu zawodowi. Lecz zawsze zwracała na siebie uwagę ta figurka niewielka, chuda, żylasta, twarz śniada o wystających kościach policzkowych, wzrok przenikliwy, bródka spiczasta i wąs z węgierska zakręcony. Grube, sine żyły na czole, silnemi arteryami usiatkowana skroń, ręka żylasta, wskazywały temperament popędliwy i gwałtowny. Dopiero lata uczyły go panować nad krwią gorącą. Zaraz z początkiem ery konstytucyjnej w Austryi (1861) dostał się do sejmu, a ten wysłał go do Rady państwa. Tu Ziemiałkowski stanął na czele Koła polskiego. Położenie przedstawiało wiele punktów niejasnych, a więc trudnych do zwalczenia. Chciano zdobyć dla Galicyi obszerniejszy zakres samodzielności, a nie umiano dokładnie określić jej granic, wahano się w wyborze środków, rozumie się, prawnych. Ziemiałkowski przechylał się do stronnictwa centralistów, gdyż przywdziało ono złudną szatę liberalizmu i zwodziło nim jego wolnomyślność. Chcąc oddziaływać w tym duchu na kraj, połączył się z ówczesnym namiestnikiem Galicyi, hr. Gołuchowskim. W 1869 r. wycofał się z Wiednia, ponieważ miasto Lwów obrało go swym prezydentem. Nie długo pozostawał na tem stanowisku, bo wnet cesarz mianował go ministrem dla Galicyi.

I tu następuje zmiana, świadcząca, jak niezdrową musi być atmosfera społeczna w Austryi, kiedy zgnił w niej taki umysł. Ziemiałkowskiego oślepiło powodzenie; brał dużą pensyę, miał znaczenie i używał rozkoszy wesołego życia wiedeńskiego. To też wyrzekł się przekonań, byle tylko jaknajdłużej utrzymać się przy władzy. Gdy runął gabinet hr. Auersperga, Ziemiałkowski wszedł do gabinetu Stremayera, po upadku tego zgodził się na program hr. Taaffego. Przetrwał aż do chwili obecnej, mimo że nieraz porażka, jakiej doznała Galicya np. w sprawie wódczanej, wymagała jego usunięcia się.

Filip Zaleski — to urzędnik i kosmopolita. Ojciec jego znanym jest nietylko z tego, że był również w 1848 r. namiestnikiem Galicyi, a później popadł w niełaskę. Jako „Wacław z Oleska“ stoi na czele pierwszych zbieraczy pieśni ludowych polskich i rusińskich. Jego syn pod każdym względem różni się od niego, a stanowisko zdobył nie zasługami, lecz protekcyą.

---

1)

BULANŻYSTA.

Oparłszy łokcie o stół, podtrzymując głowę rękami, czytał najświeższe telegramy.

Koło niego z boku stał samowar z pełnym imbrykiem. Para wodna i lekki swąd węgla rozchodziły się po pokoju.

Nie czuł tego, zagłębiony w czytaniu.

Naraz oczy mu zapałały, zerwał się z krzesła, wybiegł na środek pokoju, podskoczył na jednej nodze i, klaszcząc rękami, wołał sam do siebie:

— Pysznie, doskonale!

Nalał sobie herbaty, wyjął z szafy cukier i bułki. Zjadłszy, wypiwszy, jeszcze raz zajrzał do *Kuryera*, przykręcił lampę i zaczął się rozbierać.

Zdjąwszy tużurek, usiadł na łóżku.

Pełno miał myśli. Nie zaśnie odrazu. Musi trochę sam z sobą pogadać.

Uśmiechał się do siebie, uderzał pięścią o kolano w zachwycie. Wreszcie po godzinie położył się i zasnął.

Koło północy usłyszał skrzypienie butów i huk przewróconego krzesła.

To towarzysz jego wracał pewnie z knajpy.

Przetarł oczy i ochrypłym ze snu głosem zawołał:

— Wiesz, Tomek, Boulanger został ministrem wojny!..

— A cóż mi do tego.

— Z prusakiem źle, oj, źle, będzie musiał teraz, jak pies, warować przed francuzem...

Przewrócił się na drugi bok i zasnął napowrót.

Przez noc wyciągał pięści, groził niemi komuś zdaleka, śmiał się głośno, zgrzytał zębami, kopał kołdrę.

Rano wstał, pogwizdując. Chciał gadać— nie miał z kim. Tomek jeszcze spał.

Sam do siebie przebąkiwał, ubierając się:

— Poczekaj, rozbójniku: pobiłeś tyle narodów, nabrałeś tyle ziem. *On* ci za to wszystko zapłaci. Ostatnia godzina przyszła na ciebie. Będziesz się wściekał ze złości, a nie rzucisz się na francuza, bo strach ci będzie przed Boulangerem.

Widzę szwaba: pieni się, nie przymierzając, jak ten pies na łańcuchu. A złość się, wściekaj, owszem, nie poradzisz *mu*. Ho, ho, *on* ci pokaże... Nie da ci zgryźć Alzacyi i Lotaryngii. Ty masz żołnierza wyćwiczonego, wymusztrowanego, ale go popędzisz batem do wojny, a za *nim* pójdzie cały naród kochający z własnej ochoty...

Ubrał się, wypił herbatę i wyszedł z domu wcześniej, niż zwykle.

Przebiegł kilka ulic, szukając kogoś znajomego. Ciekaw był, co mówią na mieście po wczorajszym telegramie z Paryża.

Jak na złość, nie spotkał nikogo. W zakładzie zastał tylko chłopca, który sprzątał. Ten nie wiedział o niczem.

Kiedy koledzy poprzychodzili, pytał każdego z nich kolejno:

— Cóż ty na to?

Od dziewiątej goście zaczęli się sypać. Zagadywał, kogo tylko mógł, o bliską, prawdopodobnie, wojnę.

Strzygąc łysego pana, powtórzył kilka razy:

— Ostatnia godzina przyszła teraz na prusaka...

W południe wrócił z obiadu o pół godziny później, niż zwykle. Kiedy go pytano, co robił na mieście, wyciągnął z bocznej kieszeni tużurka fotografię, zawiniętą w papier i pokazał ją.

— Musiałem to sobie kupić — rzekł. Ciekaw byłem, jak ten człowiek wygląda. Oprawię go sobie w ramki, powieszę nad łóżkiem i codzień rano popatrzę na niego...

Całował fotografię i skakał po pokoju.

Koledzy żartowali z niego.

Nazajutrz pana Y., który przez trzy lata nosił brodę *à la* Mierzwiński, namówił na zmianę.

— Proszę pana dobrodzieja— rzekł, kłaniając się—pan dobrodziej maściągł twarz. Broda nieco szersza u dołu byłaby właściwszą. Pan dobrodziej będzie wyglądał, jak Boulanger. To wielki człowiek. Zada on

Łatwo więc można wywnioskować, co oznacza jego nominacya na ministra. Ziemiałkowski, jakkolwiek od lat już kilkunastu był cieniem, a nie człowiekiem, zawsze uchodził za przedstawiciela społeczeństwa galicyjskiego, jako starodawny szermierz parlamentarny. Jego następcą został człowiek, który ani własnej woli, ani własnych zasad nie posiada. Zachowawcy przecież musieli obawiać się, by na Ziemiałkowskim, choć zmienionym do niepoznania, nie sprawdziło się przysłowie: „Natura ciągnie wilka do lasu.“ To też unicestwili go obecnie ze szczętem. Świadczy o tem następująca okoliczność. Ziemiałkowski zwyczajem austryackim dzierżył w ręku kilka godności. I tak równocześnie był posłem do Rady państwa. W tym charakterze należał do Koła i mógłby obecnie, po ustąpieniu z ministeryum, zostać napowrót jego czynnym członkiem. Z biegiem czasu, po śmierci Grocholskiego, dawny prezes wstąpiłby w szeregi kandydatów i z łatwością ubiegłby czychającego na tę godność Jaworskiego. Stańczycy wykonali tu niezłą sztuczkę. Oto za ich podszeptem w nagrodę za tekę dostał Ziemiałkowski parostwo, czyli musiał złożyć mandat do Rady państwa.

Widocznem więc, że pozornie zachwiany wpływ krakowskiego stronnictwa wzmaga się ponownie. Oto świeży przykład. Na miejsce Zaleskiego, który swoje wywyższenie zawdzięcza Potockim, został namiestnikiem były starosta krakowski, hr. Kazimierz Badeni. Hrabia ten przed kilku laty popadł w niełaskę. Wolnym był mandat do Rady państwa z Krakowa. Stańczycy popierali kandydaturę adwokata Machalskiego, postępowcy chcieli głosować za p. Romanowiczem, znanym dziennikarzem. Pierwszego dnia wybór nie przyszedł do skutku, gdyż żaden z kandydatów nie otrzymał bezwzględnej większości głosów. Lecz p. Romanowiczowi do pożądanej liczby brakowało tylko sto kilkadziesiąt kresek. Zachowawcy przelękli się i rozpoczęli bezwstydny handel na korzyść swego kandydata. Uczestniczył w tej frymarce i p. starosta, który osobiście w biały dzień na Kaźmierzu od żydów kupował głosy. Podobne nadużycie ze strony przedstawiciela rzekomo bezstronnej władzy nie mogło się ukryć, doniesiono o niem do Wiednia i p. starosta, który słynął nadto ze swego brutalstwa, nietaktu i... nierozsądku, musiał ustąpić ze służby rządowej. Dzisiaj taki człowiek, dzięki jedynie związkom z kliką, która owładnęła Galicyą, dzierży w swem ręku losy prowincyi, obarczonej wielkiem i ciężkiem zadaniem. Dzięki temu, że obiecał popierać interesy wielkiej „familii“ politycznej, prowadzonej naprzód przez rodziny Tarnowskich i Potockich, objął trudne i brzemienne obowiązkami dla przyszłości stanowisko. Namiestnik Galicyi między innemi np. jest również prezydentem Rady szkolnej krajowej, czyli najwyższym naczelnikiem instytucyi, mającej na celu rozszerzać i wzmacniać oświatę w tym kraju, tak ciemnym i biednym.

Najzdolniejsza jednostka zmarnieje na podrzędnem stanowisku, jeżeli ośmieli się zachować własne zdanie, lub co gorsza, wyrazić surową a właściwą ocenę postępowania rządzącej kliki. Zresztą ze względów materyalnych stańczycy rozdają posady przedewszystkiem sobie samym i swym najbliższym krewnym. Następująca scena przekona, ile to godności może spełniać w Galicyi człowiek „dobrze urodzony.“

Jesteś, czytelniku, w Krakowie i chcesz rozmówić się w pewnej sprawie z generalnym sekretarzem Akademii umiejętności. Idziesz na ulicę Sławkowską.

— Pan hrabia Stanisław Tarnowski już wyszedł — mówią ci.

— A gdzie poszedł?

— Na posiedzenie Rady miejskiej.

— To jest i radcą miejskim?

— Tak.

Lecisz znowu na ulicę Grodzką, gdzie mieści się magistrat. Tam oznajmiają, że p. hrabia był tylko chwileczkę, gdyż poszedł do uniwersytetu, by wydeklamować swój wykład o literaturze polskiej. Lecz i do uniwersytetu przybywasz za późno. Pedel oznajmia ci, że p. profesor wykładał tylko pół godziny, gdyż spieszył się na pociąg odchodzący do Lwowa.

— A po cóż tam znowu pojechał?

— Jakto? Rektor...

— To i rektorem jest p. Tarnowski?

— Był nim przeszłego roku, a stąd pozostał mu tytuł; piastuje godność członka Rady szkolnej krajowej i co tydzień musi być we Lwowie na sesyi.

— A kiedyż wróci?

— Oh, nie wróci tak prędko, gdyż jako poseł sejmowy posiedzi we Lwowie sześć tygodni, a stamtąd uda się wprost do Wiednia na posiedzenia Izby panów, której jest członkiem.

— I czy za to wszystko jest płatny?

— Rozumie się.

„Jak słodko poświęcać się krajowi“ — w ten sposób!

Galicyjscy członkowie „familii“ politycznej są wybornymi typami dawnego możnowładztwa, które dbało nie o pomyślność narodu, lecz rodu. Podziwiać można, z jak lekkiem sercem ci panowie przyjmują na siebie odpowiedzialność za losy kraju wobec przyszłości.

A. Witski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki w całej swej podróży rozpromienia sfery urzędowe, ale ludności do zapału nie pobudza. Nie wybuchała ona miłością w Austryi, nie wybucha we Włoszech. Tu tylko dzięki licznym aresztowaniom uprzednim i czujnemu dozorowi policyi nie przyszło do zaburzeń poważniejszych. O tych złych zamiarach względem siebie Wilhelm II wiedział, bo umknął przyjęciu uroczystemu na granicy i wogóle na stacyach w drodze do Rzymu nie opuszczał wagonu. Naturalnie drobne nieprzyjemności: wrogie wykrzyki, kartki rzucane do powozu itp. — musiał znieść. Wątpimy, ażeby Neapol, gdzie gość z gospodarzem obecnie przebywają, okazał się grzeczniejszym.

Będąc w Wiedniu, Wilhelm II nie wyróżnił Taaffego, Atlasa, dźwigającego obecny system rządów Austryi. Skutkiem tego centraliści zaczęli nienawistnemu ministrowi skrobać marchewkę a naiwniejsi nawet kopać mu grób. Tem mocniejszym i bardziej niespodziewanym dla nich gromem stała się wiadomość o przemianach w gabinecie, wzmacniających stanowisko hr. Taaffego. Ustąpił Ziemiałkowski, ministrem bez teki dla Czech został Prażak, a jego miejsce zajął namiestnik Morawy Schönborn, jeden z najenergiczniejszych feodałów czeskich, zagorzały i wymowny obrońca praw historycznych korony św. Wacława. Niemcy pocieszają się, że ów rycerz w mundurze ministeryalnym umiarkuje swój animusz, ale w każdym razie nie mogą zaprzeczyć faktu, że Austrya tą zmianą posunęła się w kierunku zachowawczym i autonomicznym. Szkody pierwszego pochylenia wyrównają się z korzyściami drugiego, co ludy Austryi zyskają na samorządzie, to stracą

---

bobu prusakom, aż z nich pludry opadną. Nie chciałbym być w ich skórze!..

Kiedy nie było gości w zakładzie „stary,“ napędzał jego i wszystkich kolegów do rozczesywania włosów na warkocze i grzywki damskie.

Szli na górę, siadali przy dużym okrągłym stole i zabierali się do zmudnej, niecierpliwiącej roboty.

Dawniej, rozplątując włosy, słuchał zawsze o tem, kto się z kim żeni, która z pań najładniej wyglądała i najbogaciej była ubrana na ostatnim balu; jacy państwo przyjeżdżają ze wsi na karnawał do Warszawy i czy będzie dużo głów do czesania przez zimowy sezon.

Koledzy mówili o tem między sobą ciągle. Każdy z nich był dumny, jeżeli mógł coś takiego powiedzieć, czego inni nie wiedzieli.

Jego to nie zajmowało, ale słuchał i odzywał się czasami, bo i cóż miał robić?..

Od dzisiaj nie o tem myślał. Dokoła niego gadali, a on tylko uśmiechał się sam do siebie. Czasami podskoczył na krześle, grzebień z rąk mu wypadł, on schylał się po niego, gwiżdżąc, rozplątywał dalej włosy i powtarzał w duchu:

— Źle będzie z prusakiem, źle! Już francuz się szykuje i zaczyna musztrować armię, stawiać fortece, przerabiać karabiny... Niedługo szwabskiego panowania na świecie...

Postanowił uczyć się na pamięć wszystkich mów Boulangera. Odtąd wiedział doskonale, co kiedy generał mówił, z czem ma wystąpić na nowo.

Raz coś mu podszepnęło:

— A żeby tak pojechać do Paryża, przedstawić się ministrowi, oddać los swój w jego ręce i wrócić do kraju dopiero po wymłóceniu prusaka...

Zaczął się nagwałt ćwiczyć we francuskim. Kupił sobie metodę Ollendorfa. Znajomych gości, których strzygł, pytał, jak należy ten albo ów wyraz francuski wymawiać.

Powtarzał go następnie z wysiłkiem, chcąc odtworzyć akcent należycie.

Nie udawało mu się widocznie, albo płatano mu figle. Zawsze bowiem po każdej takiej próbie śmiano się z niego i mówiono:

— Każ się wypchać z taką francuszczyzną...

Pomyślał sobie, że już chyba sam nie podoła. Musi spróbować wziąć parę lekcyi za pieniądze.

W tym samym korytarzu, co i on, prawie naprzeciwko, mieszkała francuska.

Przyczaił się któregoś wieczora na schodach i zatrzymał ją, wracającą do domu.

Poprosił, żeby go uczyła. Pozwoliła mu przychodzić codzień do siebie wieczorem na godzinę za dwa złote.

Odtąd pracował bardzo pilnie.

Już czytał nieźle, umiał na pamięć kilka zdań francuskich i dosyć słów.

Ukradkiem napisał sobie mowę do ministra. Miał ją przetłomaczyć powoli przy pomocy słownika i wygłosić podczas przedstawienia się.

Codzień, wracając od francuski, stawał przed lustrem i wprawiał się w gestykulacyę, mającą towarzyszyć mowie.

Pierwszego dnia po otrzymaniu pensyi miesięcznej zamówił u krawca tużurkowy czarny garnitur. Gdy mu odniesiono, obejrzał go ze wszystkich stron i schował do szafy, przyrzekając sobie nie ubrać się aż do chwili, w której stanie przed ministrem.

Serce mu biło, gdy myślał, że zobaczy na własne oczy tak wielkiego człowieka. Krew uderzała do głowy. Musiał pić wodę, żeby ochłonąć.

Raz, czesząc jakąś milczącą damę w pokoju, sąsiadującym ze sklepem, myślał sobie: czy też Boulanger odrazu weźmie go do wojska? Nagle usłyszał, że jakiś, widocznie znajomy pan, kupując flaszeczkę perfum, rzekł do „starego“ za kontuarem:

— No i cóż, będzie pokój — Boulanger wyleciał z ministeryum...

W głowie mu się zakręciło. Nie mógł myśli zebrać.

Chciał wyjść, ale do wieczora jeszcze było daleko. Goście sypali się ciągle. Na niego wciąż wołano: „Panie Stefanie,“ ogół

na wsteczniotwie. Nieszczęsny fatalizm naszego czasu: swobody polityczne rozdaje ciemięzca umysłowy.

Ze Lwowa posłem do Rady państwa wybrany został Lewakowicz, który nie chce przyłączyć się do czeladzi rządu, objętej Kołem polskiem. Jeśli stańczycy nie okiełznają tego śmiałka, może też Galicya będzie miała w Wiedniu jednego przedstawiciela parlamentarnego, nieschylającego głowy przed Sinobrodym, śpiewającym: niżej, niżej!

Jeszcze jedną burzę przetrwał gabinet Floqueta: zażądał zrewidowania konstytucyi, wiążąc z tem dowód ufności dla siebie. Izba przyjęła to żądanie, czem — jak charakterystycznie wyraża się jedna z gazet— „nie przesądziła jeszcze, czy utrzyma dalej rząd dotychczasowy.“ Niedługo zapewne rozpoczną się napady drgawek bulanżerowskich, a kto wie, co po nich nastąpi. Może istotnie operetkowy generał wybrany zostanie — jak obiecuje — we wszystkich departamentach!

W tym miesiącu odnawia się sejm pruski, który dzięki zasadzie wyborów (pośrednich) daje zawsze większość rządową. I w tym roku więc pierwiastki opozycyjne nie wzrosną zbyt, jeżeli wogóle wzrosną. Ale w obu sejmach można się spodziewać bardzo gwałtownych starć. Stronnictwo postępowe w panowaniu Fryderyka III, w słynnych jego pamiętnikach, w sprawozdaniu Bismarka, w procesie Geffkena i zakazie broszury Mackenziego — posiadło niewyczerpany materyał do ataków na ks. Bismarka. Pierwsze strzały tej walki, które już padły z ust Richtera na przemówieniach wyborczych, zapowiadają bardzo ostry jej przebieg. Czasami zdaje się, jak gdyby dla Niemiec nadchodziła jedna ze strasznych chwil życia politycznego.

Między królem Milanem a jego dawniejszym powiernikiem i ministrem Garaszaninem nastąpił gwałtowny rozbrat, który skończył się wypędzeniem ostatniego. Jednocześnie w konsystorzu serbskim zaszły zmiany, mające na celu ujednostajnienie jego powolności dla krola w sprawie rozwodowej.

W Londynie umarł hr. Robilant poseł włoski i podobno twórca przymierza Włoch z Niemcami i Austryą.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SPÓŁKI PRZEMYSŁOWO-ROLNICZE.

Z mnóstwa środków, zalecanych chwiejącym się i upadającym posiadaczom ziemskim przez ich silniejszych moralnie i materyalnie braci, największe bodaj mają prawo bytu wszelkie spółki. Mało ich u nas, ale te, które przetrwały, ujawniły wiele skutków dodatnich. Kilku rolników pow. lubartowskiego przedsięwzięło dostawę podczas zimy drzewa opałowego do Lublina. Są oni bardzo odważni i może zasobni, skoro wbrew szlacheckiej naturze wypowiadają otwartą wojnę Berkom i Szmulom, a za środek spółzawodniczenia obierają zniżkę ceny. Gazeta miejscowa nie uważa, aby to wystarczało; chcąc wytrzymać konkurencyę, należy walczyć z tamtejszymi dostawcami przedewszystkiem gatunkiem i dobrą miarą. Dotąd, naturalnie, takie spółki miały i mają na względzie posiadaczów większych i średnich. Dopiero gdy w ostatnich czasach zaczęto pilniejszą zwracać uwagę na położenie ekonomiczne ludu, na środki zapobiegawcze rozpaczliwej emigracyi, kilka pism, nawet hołdujących „uprzywilejowanym,“ przychylnie zaznaczyło działalność dr. Kalksteina w Prusach zachodnich. Istotnie, system tego rodzaju drobienia majątków ziemskich przy szerokiem zastosowaniu może masom zaoszczędzić wiele klęsk ekonomicznych. Zbierają się zaś na to już nie gołosłowne twierdzenia, lecz fakty z całorocznej próby. Rickert, deputowany do sejmu związkowego, żywo zajęty kolonizacyą wewnętrzną d-ra K., ogłosił ciekawy jej rezultat w piśmie niemieckiem *Nation*. Na mocy prawa z 4 lipca 1868 r., dr. Kalkstein, właściciel ziemski z Jabłowa, od dawna już nosił się z projektem nabycia większych obszarów ziemi na działkowanie. Obecnie widzimy tę myśl w czynie. Spółka (z dyrektorem jej p. Ziemskim) dokonywa parcelacyi Pińczyna, największego z trzech majątków zachodnio-pruskich. Dobra powyższe zajmują 1,108 hektarów, a ciężar ich podatku gruntowego wynosi 5,100 marek. Łąk około 125 hektarów, lasów — 100. Przedsiębiorcy nabyli dobra z warunkiem, że towarzystwo, które je obejmie, utworzy się w ciągu pół roku. Po zebraniu dostatecznej liczby członków, z potrzebnym kapitałem 400,000 marek, utworzyło się towarzystwo na zasadzie wzajemnej odpowiedzialności uczestników, pod nazwą: „Spółka rolniczo-kredytowa.“ Dotychczas liczy ona 70 uczestników (sześciu parceli nie nabyło, między nimi dyrektor i przedsiębiorca). Z oznaczonych działek w planie parcelacyjnym $^3/_4$ obszaru już sprzedano. Wielkość ich rozmaita; największa — 60 hekt., najmniejsza — niespełna 7 hekt. Cena kupna odpowiednia do dobroci gruntu: od 250 do 600 marek za hektar. Majątek cały będzie zaregestrowany na imię spółki, dopóki się cena kupna nie umorzy. Każdy stowarzyszony przystępujący, wypłaca udział 50 marek od hektara. Powinien wystawić własnym kosztem budynki, tudzież zaopatrzyć się w inwentarz, nadto opłacić rocznie 5% od sumy, która się oznacza jako wartość jego działki. Wnioski stowarzyszonych wynoszą rocznie 28,000 marek; suma ta idzie na oprocentowanie kwoty sprzedażnej, umorzenie i na koszty zarządu. W ciągu 27 lat kapitał, za który majątek nabyto, będzie zupełnie umorzony, a zadanie towarzystwa skończone; następnie każdy stowarzyszony ma prawo żądać, aby jego działek z zabudowaniami, inwentarzem itd. był mu prawnie przyznany na własność, bez żadnego długu. Podatki państwowe, gminne i inne ciężary spadają na stowarzyszonych. W statutach są określone prawa posiadacza gruntów. Nie jest on w ścisłem znaczeniu właścicielem ziemi aż do chwili zupełnego umorzenia, ale posiada go faktycznie z prawem ustępstwa z upoważnienia zarządu, lecz tylko uczestnikowi stowarzyszenia. Ogólne zgromadzenie może być zwołane przez jednego nawet członka, jeśli ten dostrzeże lekceważenie swych praw przez administracyę. Występującemu lub wykluczonemu Towarzystwo zwraca wniosek po upływie trzech miesięcy od dnia zamknięcia rachunków rocznych. W przyszłym roku wszyscy uczestnicy ukończą już na swych gruntach budowle gospodarcze. Niektórzy rozpoczęli uprawę roli własnym sprzężajem. Gorzelnię prowadzi tymczasowo zarząd stowarzyszenia. Przeznaczono dla niej 70 hektarów gruntu, a nadto każdy stowarzyszony musi dostarczać po jednym szeflu kartofli z morga, po cenach targowych. Gospodarkę leśną obejmie zarząd, śpichrze zaś służyć będą za miejsce wspólnej sprzedaży produktów rolnych. P. Rickert radzi, aby posiadacze ziemscy, mający do zbycia swe grunty, zwrócili uwagę na powyższą spółkę, gdyż

---

pan tego pana, temu ostrzyż brodę, tej pani przytnij grzywkę...

Strzygł, golił, przycinał, ale spieszył się, jakby go kto pędził. Grzebień i nożyczki wypadały mu z rąk co chwila.

Wysoka blondynka, którą uczesał, narzekała, że jej skrzywił *mikado*. Gruby, łysy jegomość zrobił gwałt przy goleniu:

— Kaleczysz mię pan, kaleczysz — krzyknął kilka razy tak głośno, że wszyscy, kto tylko żył w sklepie, zbiegli się przy nich.

— Nic — pomyślał sobie — nie wytrzymam...

Ostrzygłszy reportera, pędzącego do teatru, wyrwał się ukradkiem i uciekł, nie czekając chwili, w której zamkną „budę.“

Kupił *Kuryer* w kiosku i pędem biegł ku domowi.

W bramie pod latarnią przeczytał najświeższe telegramy.

Już się nie spieszył.

Wolno, ociężale wchodził na schody.

— Podły naród — mruczał sam do siebie. Zaciskał pięści i groził niemi w powietrzu. Takiego wielkiego człowieka zgryźć, wyrzucić, jak przeniewiercę...

Stanął przed progiem mieszkania, oddychając dusznem, pełnem swędu naftowych lampek powietrzem.

Złość go brała coraz większa.

Chciał z niej ochłonąć, zanim wejdzie do pokoju. Czuł, że w tej chwili porozbijałby tam wszystko...

Uspokoiwszy się trochę, otworzył drzwi, zamknięte na klucz i po ciemku dotarł do stolika pod oknem.

— Generałowie wojny nie wypowiadają— myślał, zapalając lampę. Będzie zgoda. Prusaka teraz nikt nie tknie... Podły naród francuzi...

Znowu zacisnął pięści i zaczął chodzić szybko po pokoju, mrucząc, potrząsając głową z oburzeniem.

Naraz schwycił obiema rękami drewniany stołek, stojący przy ścianie, uderzył nim o podłogę i rozbił na kawałki.

Dyszał w gniewie, sapał. Francuska, nie mogąc go się doczekać na lekcyę, przysłała stróżkę.

Zwymyślał kobietę a pannie Emelinie kazał powiedzieć, że nie przyjdzie.

Zawziął się na wszystkich francuzów. Przyrzekł sobie, że z żadnym nigdy nie zagada.

Podarł Ollendorfa w kawałki.

Tomek, przyszedłszy z knajpy po północy, potknął się o okładkę porwanej książki i przewrócił przez połamane kawałki stołka.

Nazajutrz rano o mało nie zbił za to towarzysza.

Ten nie bronił się wcale. Po wczorajszym wybuchu złości zobojętniał na wszystko.

Wyszedł leniwie z domu. Siedząc nad kłębami poplątanych włosów, myślał sobie, że już nigdy nie kupi *Kuryera*, nie będzie się zajmował polityką, bo i „na co się to wszystko zdało, kiedy porządku na świecie nie będzie nigdy? Kiedy to zawsze dobrzy ludzie upadają, a źli i głupi zwyciężają?..

I rzeczywiście, przestał zaglądać do kiosku. O politykę nie zagadnął nikogo.

Nudno mu było. Nie miał o czem rozmyślać. W dzień musiał słuchać plotek kolegów. Wieczorem wałęsał się po ulicy, sam nie wiedząc, co począć z czasem.

Aż tu kiedyś kolega Karol, wróciwszy z miasta, po uczesaniu jakiejś damy na wesele, podszedł do niego, pociągnął go dwoma palcami za końce wąsów i zawołał:

— Nos w sufit! Twój generał górą! Jeszcze niejle wyłupi prusaka... Szykuj bibkę na ten fest...

Wtyd go zdjął, że nic o tem nie wiedział.

Zaraz tego samego wieczora wstąpił do cukierni, przeczytał telegramy i artykuły polityczne.

— Naród ujmuje się za *nim*, owacye *mu* robi...

Otucha weń wstąpiła.

Może przecież jeszcze co z tego będzie?

(D. n.)

Cecylia Walewska.

w ten tylko sposób można usunąć trudności finansowe, napotykane przy dzieleniu większych majątków. Przedsiębiorstwo pińczyńskie dowiodło silnego zapotrzebowania mniejszych posiadłości w zachodnich prowincyach pruskich. Kandydaci znaleźli się w niespełna sześć tygodni i to przez ogłoszenia w pismach. Pracowici, zdolni i oszczędni rolnicy — mówi p. R. — znajdą w Prusach obszerne pole działalności w zakresie gospodarstwa wiejskiego. Pomimo nieprzyjaznych warunków i nizkich cen produktów w ostatnim roku, drobniejszym pracownikom rolnym powiodło się tam nieźle.

CUKROWNICTWO.

Na szarym widnokręgu jesiennym już się wzbijają słupy dymu z wysokich kominów cukrownianych. Kampania r. 1888/9 rozpoczęta, lecz jakie będą jej owoce na wiosnę? — nadprodukcya! Ten wyraz wstrząsa do głębi wytwórców, dręczy ich od lat kilku, nie pozwala cieszyć się przednią jakością buraków, wielką wydajnością cukru. Kto może zdobyć się na wysiłek, stąpa śmiało, bo biada gdy dojrzą słaby chód możnowładcy! Zawołają: „precz z wątłymi!“ A głosy ich potężne są — jak to mieliśmy dowód w zaczątkach przesilenia cukrowego. Wszak niewiele brakowało, aby potęga ich monopolu zakwitła na ruinie mniejszych przedsiębiorców. Bezczelnie i jawnie żądano zamknięcia cukrowni pojedynczych, a pozostawienia tych tylko, które są skupione w kilku silnych dłoniach. Dziś, przynajmniej może pozornie, zapanowała jednomyślność; te same troski, ten sam ton utyskiwania i jednobrzmiące wnioski co do środków wzmocnienia przemysłu. Istotnie, jest nad czem się mozolić. Przesilenie, które do najwyższego stopnia się wzmogło w r. 1885, obecnie przycichło tylko i utajone ciągle straszy nadprodukcyą, dążącą do ustalenia na rynkach ceny wywozowej: ta zaś, chociaż się waha w dość szerokich granicach, najwyższy jej poziom nie pokrywa kosztów wytworzenia cukru w całem państwie. Ten właśnie wzgląd był nieraz przedmiotem długich roztrząsań, a ich owocem— konwencya zawarta przez większość cukrowników, w celu ustanowienia ilości maksymalnej cukru, którą wolno każdemu wytwórcy zbyć na rynkach krajowych. Przewyżki miały być skierowane za granicę. Konwencyę ową, powstałą przed kilkunastu miesiącami, przedłużono i wzmocniono przez przyjęcie nowych uczestników w kwietniu r. b. Obowiązuje ona 189 na 220 fabryk czynnych i ma trwać do 1 (13) września 1891 r. Sami stowarzyszeni uważają ten środek za czasowy, łagodzący straszną chorobę, ale nie posiadający mocy do jej zupełnego wyleczenia. Za granicą mniej więcej te same dolegliwości wywołały już dawniej działalność zaradczą. W r. 1886 rząd angielski, dla zniesienia premij wywozowych cukru, dał początek układom międzynarodowym, które się przeciągnęły aż do chwili obecnej. W r. z. przedstawiciele Anglii, Belgii, Francyi, Włoch, Holandyi, Austryi, Hiszpanii i Rosyi odbyli wielką naradę w Londynie 30 sierpnia r. b.; podpisano międzynarodową umowę, według której jawne lub ukryte premie ze skarbu państwa wywożonemu cukrowi mają być zniesione. Uradowali się wytwórcy ośmiu państw, ale muszą się uzbroić w cierpliwość aż do r. 1891, odkąd ma obowiązywać przymierze cukrowe i trwać przez lat dziesięć, z zastrzeżeniem, iż każdemu z umawiających się rządów służy prawo wycofania się na rok z góry przed upływem dwulecia, czterolecia itd. (93, 95, 98, 99 r.). Po terminie umowa obowiązuje nadal od roku do roku. Zastrzeżenie poprzednie i późniejistnieje, z tą różnicą, że każde z państw co rok, a nie co dwa lata może się wycofywać. Cukier, używający protekcyi skarbu, niema wstępu wolnego i nie może obiegać w granicach państw związanych umową, a więc podlega ocleniu wyższemu. Rząd angielski zobowiązuje się nie zaprowadzać taryfy celnej różniczkowej na cukry różnego pochodzenia. Zamorskie posiadłości i kolonie państw należą do umowy rządów macierzystych. Państwa, które obecnie nie przystępują, mogą następnie wejść do związku na powyższych zasadach. Konwencya będzie badała przepisy i prawodawstwa różnych krajów, dotyczące cukru, zbierać wszelkie statystyczne, handlowe i i prawne wiadomości w tym przedmiocie. Takie są główne zarysy związku. Francya i Austrya przystąpiły z zastrzeżeniem, Rosya bez zastrzeżeń. Warunkowo zgodę przyrzekły: Brazylia, Dania i Anglia imieniem Egiptu, Szwecya wyczekuje. Tak więc za lat trzy na olbrzymich obszarach kuli ziemskiej zabrzmi hasło: ani my, ani wy! Cukrownictwo okrywane w niektórych państwach płaszczem opiekuńczym, pozostawione będzie samo sobie. Niema wszakże radości bezwzględnej. Już nasi cukrownicy przed rozpoczęciem działalności związku zaczynają ważyć jego ujemne skutki, tj. że wynikiem przystąpienia rządu ruskiego do konwencyi będzie zniesienie udzielonej obecnie (do maja 1891 r.) premii skarbowej na cukier wywożony z Rosyi przez granicę azyatycką na wschód. Chętne garnięcie się do konwencyi krajowej dowodzi pokojowego usposobienia naszych cukrowników, zdradzających duch wielce wojowniczy jeszcze przed dwoma laty. Nawet zakłady najsilniejsze materyalnie, które mogłyby długo przetrzymywać równię cen wywozowych, porzuciły groźną postawę i przystąpiły do związku z obawy, aby słabsze ich współzawodniczki, zmieniając właścicieli, nie stały się znowu zdolnemi do wojny, jako nie ponoszące ciężarów oprocentowania i umorzenia znacznego kapitału zakładowego. Gdy się przyjrzymy cyfrom, dziwnym nam się wyda przesadzony niepokój śród cukrowników. Na mocy pewnych obliczeń państwo całe spożywa 22 miliony pudów cukru, roczna zaś produkcya wszystkich cukrowni wynosi około 24 mil. Zapasy krajowe cukru obecnie tak są szczupłe, jak od lat czterech nie były. Chociaż miniony okres dostarczył 24 milionów, lecz w tym czasie około 2—2½ mil. pudów ubyło z remanentów, które wszędzie znacznie się pozmniejszały. Nadto dawał się uczuwać brak gotowego kryształu w większej ilości na potrzeby handlu. W Królestwie mączek nie było wcale, sprowadzano kryształ z Wołynia i Kijowa do częściowego mielenia; w początku sierpnia przez dni kilka płacono w Warszawie po 5 rs. za pud mączki, tyle, co za rafinadę. Wobec takiego stanu rzeczy rozjaśniłyby się może zupełnie chmurne oblicza naszych wytwórców, gdyby nie widma uboczne, które sobie wynaleźli, aby nie drzemać w błogostanie. Straszydłami temi są: brak pieniędzy na giełdach całego państwa, trudność zastawu i drożyzna dyskonta, dalej — bardzo nizka cena cukru wywozowego, wywołana głównie podniesieniem się kursu rubla w stosunku do złota.

Drogomir.

PROŚBA KUPCÓW Z NIŻNEGO-NOWGORODU.

I w tym roku przedstawiciele handlu i przemysłu ruskiego, zebrani na jarmarku w Niżnym-Nowgorodzie, wystąpili z prośbą do ministeryum skarbu. Tegoroczna już nie zwraca się przeciwko „pograniczu,“. a nawet w wielu punktach zgadza się z życzeniem naszych fabrykantów, a schodzi się zupełnie na gruncie ułatwienia zbytu na rynki zagraniczne. Z żądań niżnonowgorodzian najważniejsze są: reforma taryfy celnej i zmiany w dotychczasowych traktatach handlowych (mało uwzględniających interesy handlu ruskiego za granicą) w taki sposób, iżby na przyszłość stosunki ekonomiczne Rosyi z ościennemi państwami określała nie teoretyczna, lecz praktyczna wzajemność interesów handlowych. O ile istotnie dotąd traktaty powyższe są ogólnikowe, o tyle znowu żądania kupców w tym względzie są mgliste. Pragną oni zmiany, lecz na czem się ma opierać owa praktyczna wzajemność interesów, nie określają. Cła zwrotne, na których konieczność kładli nacisk zeszłej jesieni fabrykanci łódzcy w swoim memoryale, zajmuje teraz pierwszorzędne miejsce w żądaniach kupców ruskich. Przemysł nasz — powiadają oni — przy wywozie produktów ma do zwalczenia silne współzawodnictwo fabrykantów zagranicznych, otrzymujących wszelkie materyały surowe albo zupełnie bez cła (Anglia), albo za opłatą niewielką (Niemcy). Najbardziej rozwinięty u nas przemysł bawełniany, którego wyroby odznaczają się wielką doskonałością w konkurencyi zagranicznej, napotyka poważną przeszkodę w cle od bawełny. Niemniej zatem cło powyższe jest koniecznością, gdyż zabezpiecza uprawę bawełny w Rosyi i tym sposobem chroni bilans handlowy od wielkich wydatków na zagraniczną. Zniesienie cła od materyałów surowych, niezbędnych w przemyśle przetwórczym, nie ułatwiając wcale handlu wywozowego, przyprawi o ruinę wiele przedsiębiorstw krajowych. Wzrost wywozu wyrobów miejscowych na rynki zagraniczne może być osiągnięty jedynie ustanowieniem przy tem cła zwrotowego w rozmiarze podatku celnego, któryby obciążał materyał surowy, zużytkowany w danych wyrobach. Zwrot ceł — utrzymują dalej kupcy — nie przyczyni wydatków skarbowi państwa, gdyż dotyczyć on będzie jedynie nadprodukcyi towaru wysyłanego na rynki zagraniczne. Chociaż zaś zastosowanie tego środka nie podniesie dochodów celnych, to przecież rozwój przemysłu, zwiększając zastosowanie pracy narodowej, przyczyni się do wzrostu ogólnych wpływów państwowych z innych źródeł.

Większość prasy ruskiej przyjęła bardzo nieprzychylnie prośbę kupców nowgorodzkich, a w szczególności potępiła żądanie cofnięcia pewnych ulg, danych cudzoziemcom w przepisach, dotyczących bezcłowego wwozu towarów obcokrajowych do Syberyi przez rzekę Jenisej. Prasa wychodzi z tej zasady, że interesy ruskich spożywców powinny być bardziej cenione, niż niewielkiej gromady bogatych przemysłowców. Między innemi powiada *Dień*: „U nas co krok, to prośba o pomoc, o ograniczenie, o współdziałanie itd. Obecnie zaś i tego mało: staramy się o niewolnicze skrępowanie konsumentów... Czy nie za wiele?“ Z pośród powodzi protestów, jeden głos wystąpił w gorącej obronie przemysłowców, zbijając niektóre zarzuty dziennikarskie, że Rosya mało zrobiła odkryć w dziedzinie przemysłowo-handlowej na dalekim wschodzie. Na poparcie swych twierdzeń autor przytacza długi szereg dowodów historycznych, przypominając, iż nowgorodzianie od dawna prowadzili handel obszerny z Europą itd. Bądź co bądź, ciekawy będzie rezultat podania kupców ruskich; zgóry wszakże można przewidzieć, że większość ich żądań nie znajdzie uwzględnienia. *Kraj*, zwolennik wielkiego przemysłu, wręcz przeciwnie zapatruje się na całą tę sprawę, niż pisma ruskie. Twierdzi on, iż przyznanie ceł zwrotnych byłoby silnym motorem w rozwoju wywozu towarów z Rosyi środkowej i Królestwa. Ale w danym razie fabrykantom ruskim przysługiwałyby znacznie większe korzyści. Bawełna z Azyi środkowej, wolna od ceł, przeważnie idzie do fabryk moskiewskich. Otóż zwrot cła dla ich właścicieli byłby w wielu razach rzeczywistą premią, dla łódzkich zaś, sprowadzających z zagranicy — tylko zwrotem. Łatwo więc przewidzieć, kto skorzystałby we współzawodnictwie na rynkach zagranicznych.

Z. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DOBRY POCZĄTEK.

Z jakich pobudek pisma nasze, które przyjęły na siebie dobrowolny obowiązek informowania ogółu w sprawach praktycznych życia codziennego, milczą o treści *Przewodnika dla chorych*, wydanego przez p. Obuchowicza, jest dla nas zagadką, której żadnym na ich korzyść domysłem rozwiązać nie możemy. Niepodobna przecie, ażeby zatarg między wydawcą a kupcami, oburzonymi na niego za ogłoszenie niepochlebnych analiz lichego towaru, spowodował to milczenie. Co nas obchodzi jedna lub druga strona, zwłaszcza że swój spór załatwią przed sądem, ale obchodzić nas powinien interes społeczeństwa, który w tym *Przewodniku* znalazł poważnego obrońcę. Mianowicie dr. A. Weinberg zamieścił w nim obszerną rozprawę o materyałach spożywczych i ich zafałszowaniach. Jest to rezultat rozbiorów, dokonanych na głównych artykułach żywności i wytworach przemysłowych, posiadających nieraz szerokie pole zbytu. Nie możemy tu nawet w streszczeniu podawać wniosków autora, powiemy tylko ogólnie, że całość ich składa się na obraz dość posępny. Niektóre zaś odkrycia wprost podnoszą nam włosy na głowie. Tak np. dr. W. pisze o piwie *marcowem*: „Obecnie z korca słodu produkuje się pięć beczek piwa, czyli mniej, niż $1/3$ część stanowią normalne składniki piwa, $2/3$ zaś stanowią surogaty. Prócz tego piwo takie, wypuszczone na trzeci dzień z browaru po zadaniu drożdży, a więc w pełnej fermentacyi, zostaje w szynku sowicie rozcieńczone wodą z rozgotowanym korzeniem lukrecyi i dosłodzone melasą. Taka to mętna i najczęściej kwaśna brzeczka, po której oprócz biegunki niczego innego spodziewać się nie można, służy za napój biedniejszej klasie wyrobniczej, oraz stale z dawnych przekonań podawana jest mamkom karmiącym dzieci, dla wzmocnienia nią pożywności pokarmu. Chyba większego urągowiska z najelementarniejszych zasad hygieny pożywienia dotąd nie widzieliśmy."

Od pewnego czasu wszedł w szerokie użycie „koniak kuracyjny" z win krymskich. Otóż według dr. W. jest on „mieszaniną ordynarnego spirytusu i wina krymskiego." A co za wymowa cyfr w rozbiorach wódek! W napojach wyskokowych bardzo szkodliwymi są t. z. oleje fuzlowe, powstające skutkiem niedostatecznego oczyszczania spirytusu. Otóż dr. W. wykazuje, że w wódce z szynku Mokiejewskiego znalazł 0,42% tej zawartości, Schneidra—0,62%, Ewesta — 0,68%, Fuchsa — 0,93%, Jankowskiego — 0,99%! „Natomiast — powiada autor — wódki, dostarczane przez niektóre dystylarnie z Cesarstwa, są najzupełniej wolne od fuzlów." Czy wam nie wstyd, panowie dystylatorzy, którzy tak dużo gadacie o przemyśle krajowym?

Pouczające są również uwagi autora o czekoladzie. „Zdarzało mi się — powiada on — napotykać czekolady, w których było tylko 10% kakao, a jednak prócz mąki i cukru niczego więcej w nich nie znalazłem. W żadnej zaś z kilkudziesięciu rozbieranych przezemnie prób nie znalazłem, wskazywanych w takich czekoladach zagranicznych, domieszek składników mineralnych, jak obry, gipsu lub tartej cegły. Za to tłuszcze, jakie dodają do niektórych tanich czekolad, celem zamaskowania braku kakao, są szczytem pomysłowości. Zdarzyło mi się widzieć taki tłuszcz, sprzedawany fabrykantom czekolady pod nazwą sztucznego masła kakaowego, złożony z oczyszczonego łoju baraniego i wosku Carnauba."

Na innem miejscu czytamy: „Jakie u nas panuje oburzające lekceważenie zdrowia spożywców, za dowód niech służą dostarczane w ostatnich czasach przez kilka tutejszych cukierni lody i cukry z *emetykiem*."

Czy jeszcze można wątpić, że nam potrzebna pracownia chemiczna miejska i wogóle kontrola materyałów spożywczych?

Dr. Weinberg, który — jak wyznaje — „nie powodował się żadnem uczuciem delikatności" i „każdą firmę, dopuszczającą się nadużycia, oddał pod sąd publiczny" — zrobił w tym kierunku krok pierwszy, za co należy mu się szczera wdzięczność. W jego rozprawie jest tyle pięknych tematów dla *Kuryerów*, że doprawdy powinny one na chwilę odciągnąć swoją uwagę od nowego teatru wiedeńskiego, od dowcipów przemyconych z pism zagranicznych, od kulis teatralnych — i sięgnąć do tej kopalni dr. Weinberga z jego śmiałością, „nie powodując się żadnem uczuciem delikatności." Nic ma ratunku, szan. organy opini publicznej, musicie przerwać milczenie o tej sprawie, bo zaczną na was padać bardzo słuszne wyrzuty. Publiczność powinna wiedzieć, czem się karmi i jak handel lekceważy sobie jej zdrowie.

BADANIA NAUKOWE.

BADANIA NAD GRUŹLICĄ.

Nie potrzebujemy dodawać, jak straszną plagą ludzkości jest gruźlica (suchoty), już to ze względu na swoje rozpowszechnienie we wszystkich krajach i klasach społecznych, już to, że dotyka ona przeważnie wiek młody i przecina tysiące istnień ludzkich w najpiękniejszym okresie życia, że wreszcie dotychczasowe wysiłki uczonych w celu zwalczenia tej choroby są bezowocne. Sądzimy też, że dla czytelników nieobojętnem będzie poznać wynik obrad nad tą chorobą, przeprowadzonych na kongresie w Paryżu przy końcu lipca. Był to pierwszy taki zjazd w szeregu zamierzonych, które mają się odbywać co dwa lata. Zebrało się nań kilkudziesięciu lekarzy i weterynarzy z rozmaitych krajów: Francyi, Węgier, Rumunii, Włoch, Grecyi, Danii, Norwegii, Hiszpanii, Holandyi, Belgii, Anglii, Luksemburga, Stanów Zjednoczonych, Brazylii itd. Odbywający się równocześnie zjazd lwowski sprawił, że polacy nie mieli w Paryżu swego przedstawiciela; szkoda, bo w gronie naszych lekarzy są tacy, których prace nad gruźlicą mają pierwszorzędną wartość.

Pierwszą czynnością kongresu było stanowcze potwierdzenie teoryi, że suchoty są zaraźliwe i podanie prośby do ministeryum o włączenie ich do szeregu chorób zakaźnych.

Sprawa owej zaraźliwości była przez długi czas kwestyą sporną. Dopiero od czasu doświadczeń Villemina została ona rozstrzygniętą: wiedziano, że mamy do czynienia z jadem, że jad ten z jednego zwierzęcia na drugie przenosić się może, ale jego natury nie znano. Dopiero w 1881 r. niemiecki uczony Robert Koch zrobił odkrycie wielkiej doniosłości: wykazał on mianowicie, że przyczyną suchot są drobniutkie pasorzyty — bakterye, gnieżdżące się i rozwijające w ustroju ludzkim i zwierzęcym, które niszcząc tkanki, sprowadzają zabójcze następstwa. Dzięki temu odkryciu możemy obecnie wyrokować już w początkach choroby o jej naturze: jeżeli zachodzi sprawa gruźlicza, natenczas w plwocinie, wydzielanej podczas kaszlu i rozpatrywanej pod mikroskopem, znajdą się odpowiednie bakterye, w przeciwnym razie ich nie będzie. O ile takie wczesne rozpoznanie jest ważnem — dowodzić nie trzeba: gruźlica w zaczątku łatwiej usunąć się daje przez odpowiednią dyetę i hygienę, jest zaś przytem tak mało charakterystyczną w pierwszych objawach, że ją bardzo łatwo można wziąć za jakąś przypadłość kataralną i albo lekceważyć, albo stosować nieodpowiednie środki. Powtóre, wyosobnienie i wyhodowanie pasorzyta gruźliczego, a co za tem idzie, poznanie warunków przyjaznych i nieprzyjaznych jego rozwojowi, daje możność jeżeli nie wyleczenia choroby już rozwiniętej, to chociaż zapobieżenia grożącej.

Na kongresie paryskim przeważna część obrad dotyczyła profilaktyki, czyli zapobiegania suchotom. Najdłużej rozprawiano, o ile mięso i mleko krów gruźlicą dotkniętych wpływa na rozwinięcie suchot u człowieka.

W Belgii i Holandyi około 4% krów podlega tej chorobie, a wiemy przecież, że krowy holenderskie są najlepiej hodowane; wobec tego odsetki w innych krajach i rasach muszą być jeszcze większe. Oprócz bydła gruźlica objawia się u drobiu, a czasem i nierogacizny.

Zewsząd więc, jak widzimy, grożą nam poważne niebezpieczeństwa; nic też dziwnego, że na kongresie sprawa szkodliwości mleka i mięsa wywołała żywą dyskusyę.

Przedewszystkiem poruszono pytanie: czy zarażenie drogą pokarmową jest możebne, tj. czy zarazek właściwy suchotom może człowiekowi zaszkodzić, jeżeli się dostanie razem z pokarmem lub napojem? Prof. Cornil przytoczył doświadczenia Chauveau, Villemina, Parrota, Gerlacha itp., dowodzące, że zarażenie przez kanał pokarmowy jest najzupełniej możliwe. Dawano kilka kropel bulionu z bakteryami gruźliczemi do wypicia zdrowym świnkom morskim i te zapadały na suchoty przy objawach zupełnie charakterystycznych. Oprócz tego karmiono wieprze i kury plwociną i tkankami suchotniczemi z podobnym skutkiem.

Następnie rozprawiano o mleku. Nocard powiada, że mleko krów gruźliczych właściwie wtedy tylko jest szkodliwe, kiedy wymiona są sprawą chorobliwą zajęte. Ponieważ jednak trudności techniczne tej dyagnozy klinicznie i mikroskopowo są tak wielkie, że nawet bardzo wprawny pomylić się może, należy wszystkie krowy gruźlicą dotknięte zabijać, a mleko nawet od podejrzanych bezwarunkowo gotować. Temperatura wrzenia zabija bowiem znajdujące się w niem pasorzyty. Zdanie to zostało przez wszystkich obecnych jednomyślnie przyjęte. Oprócz tego zalecano rozpowszechnianie mleka kóz, oślic i klaczy — zwierzęta te bowiem są na gruźlicę odporne. Przedewszystkiem zwracać trzeba pilną uwagę na mleko dla dzieci przeznaczane, gdyż kanał pokarmowy stanowi w tej epoce życia prawdziwą gąbkę chłonącą. Drogą naczyń limfatycznych bakterye przenikają do gruczołów i zajmują je. Białe ciałka, wypełniające gruczoły rozpoczynają z bakteryami walkę, która się przejawia w postaci skrofułów. Jeżeli ciałka te zwyciężą, organizm dziecka wraca powoli do równowagi, pozostaje tylko wyniszczony a wskutek tego bardziej skłonny do zarażenia się suchotami na przyszłość; w przeciwnym razie następuje zakażenie ogólne i śmierć. A zatem *trzeba gotować mleko koniecznie*, szczególniej w miastach wielkich, gdzie kontrola co do pochodzenia jego jest niemożliwa.

Przechodzimy teraz do mięsa. Według obrachunku d-ra Arloinga jedno zwierzę gruźliczne może zarazić 1,400 osób. Wprawdzie w mięśniach, soku mięśniowym i krwi bakterye znajdują się bardzo rzadko, mimo to jednak doświadczenia na zwierzętach dokonane dały 7 wypadków zakażenia na 34 próby karmienia zwierząt mięsem gruźliczem i sokiem mięśniowym. Przypuściwszy nawet, że same mięśnie są od bakteryj wolne i że po zabiciu wyrzucono tkanki zajęte — to jednak któż zaręczy, że przy ćwiartowaniu nie natrafi się przypadkowo na jakie niedostrzeżone ognisko bakteryj

i że zarazek za pomocą tegoż samego noża nie przeniesie się na części dotychczas zdrowe? Wobec tego przyjęto wniosek: konfiskować mięso z bydła o gruźlicę podejrzanego, utworzyć surowy nadzór weterynaryjny, suchoty u bydła podciągnąć pod kategoryę chorób zakaźnych, jak: karbunkuł, księgosusz itp., wreszcie wystarać się o fundusz, z któregoby można było wynagradzać właścicielom straty. (W St. Jago przepisy te już są stosowane). Że zarażenie wskutek spożycia mięsa gruźliczego może nastąpić, stwierdził Aureggio z Wersalu, który kilkanaście podobnych wypadków obserwował w armii. Robinson z Konstantynopola robi uwagę, że w plemieniu koczowniczem na górach Taurus $^1/_{50}$ ludności zapada na gruźlicę z powodu spożywania chorego mięsa — zdrowe bowiem bydło przeznaczają wyłącznie na sprzedaż. Siegen z Luksemburga karmił 4 wieprze mięsem gruźliczej krowy — wszystkie zachorowały. Takież same wyniki otrzymał Pench z Tuluzy. Guinard z Dijon powstaje przeciw zwyczajowi picia krwi ze świeżo zabitego zwierzęcia w szlachtuzach. Zwykli to czynić suchotnicy, którzy zamiast poprawy, mogą sprowadzić sobie tylko pogorszenie, gdyż oprócz suchot płucnych, mogą wpaść w gruźlicę ogólną. Cagny z Senlis poleca baczyć na drób, który bardzo często podlega gruźlicy. Znanym jest powszechnie zwyczaj kur, że chętnie zjadają plwocinę ludzką; obserwowano kilkakrotnie zakażenie drobiu tą drogą; odwrotnie też człowiek, spożywając go, zarazić się może. Na toż samo nalega i Grisonnange. Wreszcie Arloing porusza ważną kwestyę: jedzenia mięsa niedopieczonego. Doświadczenia wykazują, że sok mięśniowy, zawierający bakterye gruźlicze, ogrzewany nawet przez stosunkowo długi przeciąg czasu do 70°, zachowuje swą jadowitość, cóż dopiero mówić o grubym kawałku mięsa, który w środku nigdy nawet tej temperatury nie dosięga. Jeżeliby zatem przepisy co do konfiskowania mięsa nie zostały przyjęte, nigdy nie można być bezpiecznym. Jednym ze środków zapobiegających byłoby solenie czyli peklowanie mięsa, wymagające gotowania dokładnego, ale niepodobieństwem jest używać mięsa tylko w tej postaci.

M. Degire (z Belgii) zwraca uwagę na to, ażeby cielęta używane do rozmnażania limfy ospowej nie były gruźlicą dotknięte.

Następnie rozprawiano, o ile woda rzeczna może zawierać bakterye gruźlicze. M. Chautemesse robił doświadczenia z wodą Sekwany i przekonał się, że w sterylizowanej czyli wyjałowionej przy temperaturze +8° R. bakterye te mogą żyć dni 50, przy wyższej zaś temperaturze — 70; w niesterylizowanej już po dniach ośmiu giną, gdyż inne bakterye, obok się rozwijające, powstrzymują rozrost gruźliczych. W każdym razie jednak w pewnych okolicznościach woda również może przenosić zarazę.

Powietrze, wydychane bezpośrednio przez suchotników, nie zawiera bakteryj gruźliczych, w powietrzu jednak, wypełniającem pokoje przez nich zamieszkałe, znajdują się one, a unoszą z wysychającej plwociny. Cadéac i Mallet szczepili zwierzęta podobnem powietrzem i dwa razy otrzymali zakażenie gruźlicą (prób wykonano dwanaście). Doświadczenia podjęte w celu przekonania się, o ile powietrze podobne szkodzić może wprost przez drogi oddechowe, dało również dwa razy wynik dodatni (doświadczeń było 46), zachorowały jednak tylko te zwierzęta, u których uprzednio wywołano sztuczną bronchitis, czyli zapalenie oskrzeli zapomocą bromu albo jodu; te, u których drogi oddechowe były zupełnie zdrowe — zakażeniu nie uległy.

Praktyczne wnioski doświadczeń powyższych są następujące: pluć do naczynia zawierającego 5% roztworu kwasu karbolowego, a to w celu natychmiastowej dezynfekcyi. Plwocina bowiem zachowuje swą jadowitość od 7—8 tygodni (Butel), a nawet 7 miesięcy (Koch), wysychając, sprzyja unoszeniu się w powietrzu (np. podczas wymiatania) bakteryj gruźliczych i ich zarodników, te zaś, natrafiając na grunt odpowiedni (np. podrażnione kataralnie drogi oddechowe), rozwijają się i powodują chorobę. Widzimy zatem, że gruźlicą zarazić się można dość łatwo; wystarcza odetchnięcie powietrzem zawierającem bakterye właściwe, trzeba jednak do tego usposobienia.

Usposobionemi do tego są osoby, obdarzone ustrojem wątłym, już to dziedzicznie, już to wyniszczone chorobami. Niezmiernie ważnem jest spostrzeżenie M. Landuzego, że przebycie ospy naturalnej w ogromnym stopniu usposabia do suchot: z 300 osób (obserwowanych przez niego), które miały ospę naturalną — tylko 11 uniknęło suchot. Tenże sam uczony zauważył, że osoby o rudym kolorze włosów i cerze przejrzystej są więcej od innych do suchot skłonne.

Inne ciekawe spostrzeżenie przytoczył M. H. de Brun z Beyruthu. Po przybyciu do B. zauważył, że liczba chorych na suchoty jest bardzo mała. Bliższe obserwacye wykazały, że istnieje wyraźny antagonizm pomiędzy suchotami i malaryą, a ponieważ ta ostatnia jest tam bardzo rozpowszechnioną, stąd stosunkowo mała liczba chorych na suchoty. W klasie niezamożnej, gdzie są wszelkie warunki sprzyjające rozwojowi malaryi, ta też panowała wszechwładnie: na 4,216 chorych — 827 było dotkniętych malaryą; w zamożniejszej było wręcz przeciwnie. Objaw ten potwierdza się jeszcze okolicznością, że, dopóki Beyruth nie był skanalizowany, czyli dopóki malarya rozwijać się w nim mogła swobodnie, liczba chorych gruźliczych nie była znaczną; odkąd jednak miasto zostało skanalizowane, malarya prawie znikła, natomiast suchoty się wzmogły. To samo spostrzegał L. u murzynów. Wiadomo, że rasa ta jest na malaryę oporna, za to często ulega gruźlicy. W Syryi wysoka temperatura, gorący wiatr oraz ulewne i ciągłe deszcze w zimie wpływają na bardzo szybki przebieg sprawy gruźliczej, to też — według L. — błędnem jest wysyłanie tam suchotników i wogóle na wschodni brzeg morza Śródziemnego.

Z innych kwestyj poruszanych na kongresie wspomnimy już tylko o jednej, jako najżywotniejszej, a mianowicie o leczeniu suchot. Ciągłe próby stosowania najrozmaitszych środków już to wewnętrznych, już to w postaci wdychań lub wstrzykiwań — pozostają, niestety, bez skutku. Słusznie zatem Arloing radzi, ażeby w innym kierunku zwrócić poszukiwania. Próby szczepienia osłabionego jadu gruźliczego (jak w ospie, wściekliźnie itd.), nie dały dobrych wyników; przeciwnie nawet wywoływały usposobienie do suchot. Wiadomo przecież, że skrofuliczni są do suchot bardzo skłonni, a skrofuły nie są niczem innem, tylko osłabioną (attenué) gruźlicą. Ta więc droga nie prowadzi do celu. Pozostaje inna, dotychczas mało wypróbowana: szczepienie jakiegokolwiek zarazka-antagonisty gruźliczego. Wydaje się ona racyonalną już choćby dlatego, że w naturalnym porządku rzeczy taki antagonizm między zarazkami istnieje. Wspominaliśmy o malaryi i gruźlicy. Doświadczalnie podobne przeciwieństwo stwierdził Fehleisen, szczepiąc różę ludziom chorym na raka. W niektórych wypadkach nowotwór stopniowo wsysał się i znikał. Świeżo podobną próbę w innym kierunku wykonał Emmerich: szczepił on mianowicie zwierzętom chorym na karbunkuł też samą różę; zwierzęta, które zwykle od karbunkułu umierają, w tym razie pozostały zdrowemi.

Co do gruźlicy dotychas wykonano niewiele doświadczeń w tym kierunku. Arloing próbował szczepić świnkom morskim zarazek tyfusowy (na tyfus świnki morskie są odporne) a potem gruźliczy—wyniki jednak były ujemne — zwierzęta dostały gruźlicy. Gdyby się zatem udało wyosobnić i wyhodować zarazek malaryi, kto wie, czy próby szczepienia go nie wydałyby rezultatów pożądanych.

K. B.

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Wzrost u dzieci. Blizko ćwierć życia ludzkiego idzie na rośnięcie. Oddawna zwrócono już uwagę na zbadanie praw, rządzących tą dziedziną. Szereg spostrzeżeń wykazał, iż dziecko wzrasta bardzo nierównomiernie, tj. nie o jednakową wielkość w tych samych odstępach czasu, oraz nader nieproporcyonalnie w różnych częściach organizmu. Zdrowe niemowlę waży po urodzeniu zwykle 3—3½ kilogramów (stosownie do płci). Ku końcowi drugiego roku życia waga jego wynosi 3½ razy tyle, lecz zaledwie o $^1/_5$ więcej, aniżeli przy schyłku pierwszego. W trzecim zwiększa się zaledwie o $^1/_{10}$, w czwartym jeszcze mniej i następnie — u chłopców do dziesiątego, u dziewcząt do ósmego — staje na tej samej nieznacznej wielkości rocznej: 1,5—1,8 klg. Po tym okresie względnego odpoczynku następuje znów epoka żywszego przyrostu, aż do czasu dojrzenia. Mniej więcej w podobny sposób postępuje i wzrost wysokości. Obecnie przybyły w tej kwestyi dwie nowe prace. Jedna przedstawia rezultaty poszukiwań sześcioletnich dr. Landsbergera nad dziećmi ludności poznańskiej. Corocznie w maju odbywał on pomiary uczniów, bez różnicy narodowości lub zamożności. Aby pochodzenie „rasowe" wywierało jakiś wpływ na sprawę rośnięcia w Poznaniu, nie zdołał zauważyć; natomiast spostrzegł zależność od położenia społecznego rodziców. W tym względzie jego badania uzupełniają dawniejsze nad znaczeniem pokarmu; dzieci karmione mlekiem matki lub wogóle kobiety, w końcu roku pierwszego ważą 9,9 kilogramów i posiadają długości 73 cm.; czwartego — 14,2 klg. i 93 cm.; ósmego — 20,7 klg. i 116 cm.; tymczasem powyższe cyfry dla dzieci wykarmionych za pomocą sztucznych środków wynoszą odpowiednio: 7,4 klg. i 66 cm.; 12 klg. i 87 cm.; 18,3 klg. i 113 cm. Widzimy tedy, że jakość pokarmu z pierwszego roku życia wywierałaby wpływ na długie lata.

Daleko donioślejszemi są prace duńczyka Malling-Hansena, dyrektora instytutu głuchoniemych w Kopenhadze. Czynił on nad swymi wychowańcami codzienne pomiary (czasami po kilka razy na dzień) przez lat parę. Oto najważniejsze wyniki. U dzieci 9—15-letnich co do wzrostu wagi można w roku zauważyć trzy okresy. W sierpniu rozpoczyna się okres największego przyrostu i trwa do środka grudnia, a po nim do początków kwietnia idzie inny, daleko słabszego natężenia, o rezultacie ostatecznym trzy razy mniejszym, aniżeli w okresie poprzednim. Wreszcie od kwietnia do sierpnia wagi ubywa — mniej więcej na wielkość przybyłą w okresie środkowym. Podobnież trzy okresy można zauważyć i co do wzrostu wysokości, lecz one w tym razie układają się inaczej. Dziecko wzrasta w wysokość najbardziej od końca marca do środka sierpnia, najmniej (o 2½ razy mniej, niż w poprzednim przeciągu czasu) od sierpnia do końca listopada. Nie trudno zauważyć i wzajemną zależność pomiędzy obu wzrostami. W epoce największego przyrostu wagi (czyli grubości ciała) wzrost wysokości postępuje najwolniej; przeciwnie znów, gdy wysokość wzrasta najbardziej, waga nietylko nie powiększa się, lecz nawet spada. Autor przyrównywa zauważone zjawiska do procesów rośnięcia roślin i drzew. Mniejsza jednak o teoretyczne tłomaczenia i podobieństwa. Daleko ważniejszemi są

praktyczne zastosowania, mianowicie żądanie, na zasadzie powyższego materyału, odpowiedniego regulowania czasów wakacyjnych dziatwy szkolnej w ten sposób, aby obejmowały one możliwie największą część obu okresów rośnięcia — od końca lipca do końca września.

Powstawanie płci u człowieka. Jakie czynniki wpływają na powstawanie u płodu tej lub innej płci, pytanie to wciąż oczekuje rozstrzygnięcia. Zresztą same warunki badania są w tej dziedzinie bardzo trudne. O wykonywaniu doświadczeń niepodobna marzyć, przynajmniej w obrębie rodu ludzkiego. A tymczasem w grę wchodzą tu nader liczne czynniki. „Każdy pojedynczy wypadek przedstawia mnóstwo odmiennych rysów. Należy brać pod uwagę zdrowotność poszczególnych organów w całej rozmaitości możliwych kombinacyj, zmienne usposobienie, częstość oraz czas aktu obcowania, wolę rodziców wydania na świat chłopca lub dziewczyny, stan materyalny — wszystko to są czynniki utrudniające jednostajność spostrzeżeń, przynajmniej po za dziedziną wielkich liczb"—zauważa Hensen. Dla poszukiwań w tej mierze istnieją tylko dwie drogi. Naprzód, możemy według z góry powziętego planu urzeczywistniać różne możliwe kombinacye w zakładach, zajmujących się hodowlą bydła, i z otrzymanych rezultatów wnioskować o rodzie ludzkim. Powtóre, możemy zwrócić się do statystyki i za jej pośrednictwem badać zależność np. pomiędzy wiekiem rodziców a płcią potomstwa. Zwłaszcza z pożytkiem mogą okazać się rodowody domów panujących, troskliwie notujące każdy odnośny szczegół. Na podstawie spostrzeżeń i wniosków, w ten sposób zdobytych, już przed pół wiekiem postawiono zasadę, znaną pod nazwą Hofacker-Sadlerskiej, jakoby w stadłach małżeńskich, w których mąż jest starszy wiekiem od żony, więcej przychodziło na świat chłopców niż dziewcząt. Düsing, który wydał niedawno pracę dotychczas najobszerniejszą w tym przedmiocie, usiłuje dać ogólniejsze prawo. Według niego w całym świecie organicznym można spostrzedz zjawisko, iż tej płci więcej przychodzi na świat, której daje uczuwać się względny brak. Opierając się na obfitej praktyce domów położniczych w Dreznie, Jenie i Lipsku, dowodzi, że kobiety, bardzo późno wychodzące za mąż, rodzą przeważnie chłopców, jak gdyby dla zapełnienia względnego braku samców. W niemieckiem czasopiśmie *Humboldt* dr. Kisch umieścił świeżo artykuł w przedmiocie powstawania płci. Opiera się na faktycznym materyale, czerpanym z rodowodów domów panujących i arystokratycznych. Doszedł do następujących wniosków: gdy mężczyzna jest przynajmniej o lat 10 starszy niż kobieta, ta zaś znajduje się w okresie największych zdolności rozpłodczych (tj. w wieku lat 20—25), wtedy przychodzi na świat więcej chłopców. Przewyżka ta wzmaga się jeszcze bardziej, jeśli różnica pomiędzy małżonkami zwiększa się na niekorzyść kobiety po nad lat 10 i przytem ta ostatnia wyszła już z okresu największej zdolności rozpłodczej, tj. jest starszą nad lat 26. Przeciwnie się dzieje, nawet chociażby mężczyzna był starszym, jeżeli kobieta nie doszła jeszcze do wymienionego okresu, tj. jeżeli nie posiada lat 20 wieku. Przewyżka dziewcząt jest największą przy jednakowości wieku u obu stron. Ten sam badacz usiłuje jeszcze, na podstawie dowodów dostarczanych przez hodowlę bydła, wykazać, że wpływ wywierają tu jeszcze i inne czynniki — np. pokarm. Im więcej sił żywotnych posiada jedna ze stron małżeńskich, tem więcej przychodzi na świat osobników tejże płci. Wszystkie te jednak uogólnienia są hypotezami, nie mogącemi rościć prawa jakiegokolwiek do prawdopodobieństwa i ścisłości. Jedno tylko da się powiedzieć, iż powstawanie płci jest wynikiem wielu współdziałających przyczyn, wśród których znajduje się względny wiek małżonków, siły żywotne, stan odżywiania itd.

LITERATURA I SZTUKA.

CEZAR CORRENTI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Umarł jeden z najdzielniejszych myślicieli włoskich, najczynniejszych i najwytrwalszych działaczów na polu społecznem i naukowem. Imię jego często do nas dochodziło z tego względu, iż najbardziej nami się zajmował i znaczną część życia poświęcił badaniu dziejów polskich. Przez lat przeszło trzydzieści studyował bez przerwy nasze dzieje polityczne i literaturę, zgromadził wielki księgozbiór z dzieł o Polsce we wszystkich językach, przejrzał wszystkie archiwa i biblioteki włoskie, z zagranicy zaś sprowadzał materyały za pośrednictwem konsulów i ambasadorów. Posiadał wszystkie mapy dawnej Polski, w jego też zbiorach można było niemal wszystko znaleźć, co dotyczyło naszej przeszłości. Na jednem z odbytych niedawno w Turynie posiedzeń kongresu towarzystw historycznych włoskich Correnti, jako prezes, podał projekt łączności zakładów muzealnych całego cywilizowanego świata. Odczyt swój zakończył słowami: „Dla badań naukowych byłem już po raz trzeci w jednem z muzeów, w zamku historycznym, gdzie się gromadzą zabytki i dokumenty do dziejów polskich. Widziałem książki, rękopisy i autografy, których liczba znacznie w ostatnich latach wzrosła. Podziwiałem cenny memoryał, gdzie przez lat 55 wpisywane są codzień najważniejsze chwile historyczne; oglądałem komentarze dzienników, nowe prawa i wyroki, książki oraz wykaz faktów historycznych prowadzony wytrawnie, z wytrwałością godną podziwu. Prawdziwy pustelnik poświęcił całe swe życie na obczyźnie zbieraniu, zapisywaniu i układaniu tego kosztownego dyaryusza. Gdyby kongres międzynarodowy mógł być zażądanym i otrzymanym od rządów cywilizowanych, przy uczciwem i wzajemnem ułatwieniu poszukiwań i wymiany dokumentów historycznych, myśl założyciela i kuratora muzeum byłaby już w połowie wykonaną. Mnie się zdaje, że myśl tak użyteczna godna jest kongresu historycznego włoskiego, tem bardziej, że nie ma nikogo, żeby nie wiedział, że u niektórych rządów, zwłaszcza u pruskiego, jest prawie państwową koniecznością powstrzymać zbyteczną ciekawość w badaniach faktów, które chcianoby wymazać z pamięci świata. Niema także nikogo, coby nie wiedział, że są jeszcze ludy, którym za główną winę poczytują, że przeszłość miały zbyt nieszczęśliwą. Ale odpowiedzią na to najlepszą jest sama nasza ukochana Italia. Nie ma już ona potrzeby ukrywania się z dawnymi błędami; stały się one dla niej nauką i dziś może się wyspowiadać z win swoich, okupionych poświęceniem." Tom pierwszy *Dziejów Polski* Correntiego jest już pod prasą w Paryżu. Ukaże się to dzieło w języku włoskim i francuskim z ilustracyami Andriollego. W tomie czwartym i ostatnim mieszczą się nowe dokumenty, na które, jako na dowody główne powołuje się autor w ciągu swej pracy.

Correnti urodził się w Medyolanie 1815 r., gdzie odbył nauki szkolne, poczem w uniwersytecie padewskim skończył prawo. W r. 1835 założył noworocznik *Il Presagio*, gdzie umieszczał pierwsze swe artykuły treści społecznej. Pismo to istniało lat kilkanaście. Jednocześnie pisywał stale do *Viola del Pensiero* w Liworno, *Revista contemporanea* i *Annali di statistica*. Wyznawał zasady liberalne, które ujawniał w polityce i publicystyce. Jako pisarza, zaliczają go do szkoły Manzoniego i Cattanea. Oprócz nauki, uprawiał poezyę; jego zaś korespondencye z pobytu za granicą uważane są za arcydzieła stylu i dowcipu. Do utworów politycznych należą rozprawy: „O urządzeniu arsenałów," „O skupie kolei," „O poborze do wojska," „O finansach." Za te prace powoływano go na najwyższe w kraju urzędy. W r. 1859 został prefektem Lombardyi, w rok później członkiem rady stanu, a potem ministrem oświaty. Obok tego nieprzerwanie działał na innem polu: założył Towarzystwo geograficzne, którem przez długi czas kierował, następnie przewodniczył komisyi statystycznej, zasiadał na zjeździe kolejowym w Bernie, w r. 1872 na takimże zjeździe w Petersburgu. W r. 1875 w Paryżu na kongresie biograficznym, brał udział w naradach brukselskich w sprawie wyprawy do Afryki środkowej. W r. 1878 był prezesem komisyi włoskiej na wystawie w Paryżu. W Bolonii przyjmował czynny udział w posiedzeniach Akademii Mickiewicza. W parlamencie był prezesem centrum i obalił ministeryum Minghetiego, poczem lewicy dał hasło objęcia steru. Jako deputowany posiadał ogromną popularność śród swego narodu.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Broszura Mackenzlego. — Naród komiwojażerów. — Wędrówka naszej uwagi po Europie. — Jezioro martwe. — Potrzeba ożywienia pulsów. — Skromność w roli nieskromnej. — Bunt w Spaa. — Ostrzeżenie dla naszego *jury*. — Pojedynek literacki między pp. Święcickim a Porębowiczem. — Znamienna próbka krytyki swojskiej. — Jeszcze przekład *Iliady*.— Widoki na przyszłość. — Samobójczy zamach p. Zapolskiej.

Tegoż dnia, w którym do księgarń londyńskich weszła broszura Mackenziego, paryskie wydanie *New York Heralda* podało ją czytelnikom kilkoarkuszową depeszą. W dwa dni wydrukował obszerne streszczenie jej w nadzwyczajnym dodatku *Kuryer warszawski*. P. Bennet, wydawca *Heralda*, który może pozwalać sobie przyjemności jeżdżenia po morzach własnymi okrętami, opłacania kosztów wyprawy Stanleya i sprowadzania do N. Yorku telegrafem nut z opery Wagnera, granej w Beyreucie, ubliżyłby swemu szykowi wydawniczemu, gdyby skąpił kilkunastu tysięcy franków książce Mackenziego, zwłaszcza że ona dla jego czytelników i paryżan jest przysmakiem chwili. Nasz *Kuryer* nie posiada milionów Benneta, więc poprzestał na sprawozdaniu pocztowem, ale również uznał, że powinien szybko zaspokoić ciekawość swych abonentów, bo nad program wyszedł w poniedziałek rano. Inne pisma nasze zrobiły, co mogły. Tak np. jedno z nich kazało swemu korespondentowi d. 14 w Wiedniu napisać artykuł, który już 15 został wydrukowany w Warszawie. Czy podobny pośpiech względem owej broszury okazały dzienniki sztokholmskie, kopenhagskie, rzymskie, ateńskie i inne? O ile moje wiadomości sięgają — nie. Z wyjątkiem wielkich stolic, wyprzedziliśmy Europę. Dlaczego? Czy śmierć Fryderyka III żałobą okryła nasze serca? Czy spór między lekarzem angielskim tak wpił się w naszą uwagę? Niewątpliwie, ale właściwą odpowiedzią na te pytania jest stwierdzenie faktu, że w znacznej części karmimy się materyałem życia zagranicy. Może jak żaden inny naród, dzielimy jej smutki i radości, chwytamy w lot najbłahsze jej nowiny, połykamy plotki Paryża, Wiednia i Berlina, klaszcze-

my lub sykamy Boulangerowi i ścigamy go po Europie, przyglądamy się spacerom Sary Bernard z tygrysem, oglądamy wystawy sukien u Wortha, bywamy na wszystkich „premierach“ w Komedyi francuskiej i Odeonie, wymyślamy na policyę londyńską za niewykrycie morderców siedmiu kobiet, oburzamy się na Bramana za złą rurkę, słowem, jeździmy ustawicznie po Europie, jesteśmy narodem komiwojażerów. Jeżeli weźmiemy do ręki gazetę berlińską, znajdziemy w niej telegramy: z Monachium, Mannheimu, Elberfeldu, Torunia, Gdańska, Katowic, z najmniejszych wreszcie miasteczek i wiosek. Jeżeli weźmiemy gazetę naszą, spotykamy tylko: Berlin, Wiedeń, Paryż, Londyn, Sofię, Belgrad itd. Z miast polskich telegraf donosi jedynie o wybranych radcach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, o większych pożarach i morderstwach, niekiedy o wystawach i wyścigach— zresztą głucho. Pojmuję, że ogniska polityczne i stolice potężnych państw wytwarzają i dostarczają więcej materyału, niż nasza prowincya; ale jeżeli niedawno w obszernej depeszy z Rzymu czytaliśmy *domysły*, czy cesarz niemiecki pocałował papieża w pantofel, czy w rękę, czy też mu dłoń uścisnął, to doprawdy daleko ważniejszych i bliżej nas obchodzących wiadomości dostarczą Grójec lub Suwałki. Ponieważ naokoło siebie dopatrujemy tylko zabójstw i pożarów, więc może nie dostrzegamy zjawisk innych, poważniejszych, może w tych naszych kątach czasem zadrga jakieś życie. A z drugiej strony zachodzi jeszcze pytanie, czy w owych kątach nie wytworzyłyby się żywsze tętna pod wpływem naszej uwagi. Czytelnicy urabiają prasę, ale i prasa czytelników. Dziś nie przebaczyliby oni *Kuryerowi*, gdyby im wieczorem nie ogłosił imienia zwycięzcy na głównych wyścigach pod Paryżem a szybkie streszczenie broszury Mackenziego liczą mu za chwalebną usługę; po kilkunastu wszakże latach zajmowania się sprawami swojskiemi może żądaliby depesz o uchwale magistratu lubelskiego lub zgromadzenia gminnego pod Ciechanowem. Nie jest to łatwo przyzwyczaić do zajmowania się sobą naród, który od wieków zajmuje się innymi; ale w tym kierunku kształcić go trzeba. Boć tem ciągłem włażeniem na wysokie drzewa, dachy i płoty, ażeby zobaczyć, co się dzieje za jego siedzibą, tem wałęsaniem się i łataniem uwagi po całej Europie dojdziemy do tego, że nam własna chata zmiernie, opustoszy się i zapadnie w ziemię.

Figaro, ten Worth kroju naszych dzienników, w dalszym ciągu swych błazeństw, po „szczytach,“ „faworytach“ wyścigowych, rozbijania każdego dnia na koncepty, wynalazł z kolei szczególne kwestyonaryusze. Zapytuje głośnych pisarzów o zdanie w rozmaitych przedmiotach, zwłaszcza zajmujących półświat i „towarzystwo,“ a zebrane odpowiedzi ogłasza jako śmietankę mózgów celnych. Że przytem nieraz szewc prawi o uprawie pieprzu a krawiec o kierowaniu balonami, to nie razi francuza, który przestrzega tylko dowcipu. Obecnie np. Dumas, ten szympans udający filozofa, wypowiedział szereg głębokich uwag o... sporcie, z których wynika, że mężczyźni powinni rozwijać swe mięśnie, bo przez to podobają się kobietom. Otóż nasze dzienniki, które również za *Figarem* przechodziły okres szczytów i faworytów, naśladują go teraz w kwestyonaryuszach. Czytaliście przecie, co powieściopisarze, estetycy i prawnicy myślą o leczniczym wpływie hypnotyzmu; niedługo poznamy, jaki jest dla żony najskuteczniejszy sposób podobania się mężowi (szkoda, że Ewa nie może odpowiedzieć) itd. Trudno, chwytajmy brzytwę i włażmy w wodę, kiedy *Figaro* się goli lub kąpie — skoro nie możemy oprzeć się chęci naśladownictwa; ale niechże ono przynajmniej będzie przekładem na język potrzeb swojskich. Ot np. dowiedzmy się tą drogą, co nasz ogół sądzi o kształceniu chłopa w plebanii i dworze, o Asnyku, księżach, *Bluszczowym* idealizmie kobiet, wpływie gospodarstw niemieckich na ludność miejscową, komedyach Zalewskiego itd.? To nieraz będzie pouczającem.

Naturalnie piękności nagrodzone na wystawie w Spaa z możliwą szybkością odbiliśmy sobie w wizerunkach, ażeby dogodzić naszej... odrazie do tego rodzaju popisów. Biedny *Tygodnik ilustrowany*, pluje, ale pokazuje dwie pierwsze bohaterki i poświęca kilkadziesiąt wierszy „dziwactwu wieku.“ Serdeczny śmiech bierze na widok tej zawstydzonej skromności w nieskromnej roli, tych Katonów roznoszących zagraniczne obrazki wybranych bayader. Ach gdyby ci moraliści byli rozmowni! Zaraz spytałbym ich: jeżeli piękność sama przez się nie jest wartością w człowieku—czemu podają portrety kobiet, w których ona jest jedynym przymiotem? Jeżeli tego rodzaju konkursy są popisem gorszącym u nas, czemu ich uczestniczki ze Spaa zasługują na uwagę naszą?

Najuroczyściej i najwyraźniej proszę czytelników, ażeby nie sądzili, że zwalczam skrupuły naiwnych Katonów i namawiam ich do urządzenia podobnej wystawy w Warszawie. Bynajmniej. Pomijając bowiem inne względy, o których już wspominałem, nie chciałbym rzucać ani pięknych kobiet, ani ich sędziów w odmęt najstraszniejszej wojny, jaką zna historya—wojny kokoszej. Bo oto, co czytam w sprawozdaniu ze Spaa: „Przed ogłoszeniem wyroku piękności znajdowały się w stanie nieopisanego wzburzenia. Nadzieja i obawa, zazdrość i zawiść, dochodzące czasem do nienawiści, tak owładnęły damami, zebranemi we wspólnem mieszkaniu, że ich otoczenie dokładało wszelkich sił, ażeby zapobiedz gwałtownym starciom. Zwłaszcza jedna, która uważała się za zagrożoną przez współzawodniczkę, uderzyła ją wachlarzem; inna umyślnie deptała z gniewu swoją sąsiadkę; nie brakło też gróźb oblania witryolejem.“ Podobne sceny i protesty wybuchły podczas rozdania nagród. Nie, żadnego prezesa komitetu zabaw, żadnego członka Muzeum przemysłowego, żadnego redaktora poważnej gazety, żadnego lutnisty nie naraziłbym na niebezpieczeństwo takiego buntu. A już jeżeli *Figaro* nas namówi do takiej wystawy, radzę utworzyć komitet z „dzielnych wioślarzów“ lub „wytrwałych cyklistów,“ ci może sobie z zawiedzionemi poradzą.

Niech mi p. Rakiewiczowa, której zasługi sceniczne uczczono porankiem benefisowym, daruje, że o nim i o jej zarobionych długoletnią pracą wawrzynach wspomnę krócej, niż to uczynili autorowie studyów tą uroczystością wywołanych. W wielu zdolnościach ludziom nie wyrównywam, a w tej — nie najmniej. Gdyby mnie prosto z teatru wzięto do więzienia, nie pozwolono w niem czytać nawet *365 obiadów* p. Ćwierciakiewiczowej i obiecano wypuścić pod warunkiem, że napiszę 500 wierszy recenzyi teatralnej, zrzekłbym się swobody, bo nie mógłbym jej taką ofiarą okupić. Kto tego dokonać zdolny bez przymusu, bez kozy, dobrowolnie, ten jest dla mnie niedościgniony mistrzem, ale ja nigdy nie zostanę jego pojętnym uczniem. Więc tylko zapisuję się na liście wielbicieli talentu p. Rakiewiczowej, życzę jej sumy lat wieku wszystkich grywanych przez nią matron, na przyszły poranek złotego jubileuszu jej małżeństwa z teatrem niezawodnie kupię bilet, ale w głębię dramatu Ferrarego *Dwie damy* nie zapuszczę się. Jestem sobie *simplex Dei*: co na moim rodzinnym zagonie mało warto, tego nie sławię na cudzym. Gdyby takie *Dwie damy* powstały w naszej literaturze a ich autor nie należał do bractwa literatów, obliżujących wzajemnie swe dziobki — nikt by nawet pary z ust nie wypuścił. Chuchają — bo włoskie.

W *Gazecie polskiej* odbył się ciekawy pojedynek literacki, który swoją znamiennością powinien zwrócić uwagę po za jej kołem czytelniczem. P. Porębowicz, pisarz bardzo dużego talentu i świetnego pióra, a przytem poważny badacz języków romańskich, przełożył na język polski Kalderona. P. Święcicki, który co kilka tygodni lub miesięcy staje się znawcą gruntownym jakiejś literatury europejskiej lub azyatyckiej, a obecnie znajduje się w okresie hiszpańskim, odsądził ów przekład niemal od wszelkiej wartości. Na ten akt oskarżenia p. Porębowicz odpowiedział spokojniejszym tonem i rzetelnem przyznaniem się do pewnych usterek, wykazawszy zarazem przeciwnikowi omyłki w rozumieniu wyrazów hiszpańskich i operacyę na Lopezie de Vega, za którą odmówił mu rozgrzeszenia w Kalderonie. P. Święcicki odparł wszystkie zarzuty a co do ostatniego, powołał się na tę okoliczność łagodzącą, że L. de Vegę tłomaczył w początkach swych studyów nad hiszpańszczyzną i że od tego czasu pracował. Wysłuchawszy obustronnych dowodzeń, niepodobna obronić się dziwnemu smutkowi na myśl, czem bywa nasza krytyka nawet wtedy, kiedy do niej biorą się ludzie z przedmiotem obeznani: jeśli nie jest szykaną, tedy conajmniej niewidzeniem lasu z po za drzew. Do najzabawniejszych złudzeń należy mniemanie wielu naszych rewizorów literackich, że korekta gramatyczna, słownikowa lub rzeczowa jest krytyką. Wyobraźmy sobie, że ktoś, oceniając wiersz Mickiewicza w imionniku A. S., powie tak: Autor pisząc: „pud suwenirów,“ „wpakuje do sunduka,“ „kilka życzeń w upominek“ — dowiódł, że ani polskiego języka, ani jego form nie zna. Czy to byłby sąd sprawiedliwy i malujący treść utworu? A z naszych „suwenirów“ krytycznych możnaby takich sądów naliczyć całe pudy. W tym zaś ładunku znaczną część zawdzięczamy p. Święcickiemu; ma on tę wspólność z Gladstonem, że literaturę uważa za park, w którym dla zdrowia musi zrąbać jakieś drzewo. Nie przeczymy, że przekład Kalderona zawiera usterki, ale jest to przekład piękny, jak wszystkie, które z ręki Porębowicza wyszły (przypomnę tylko *Don Juana* Byrona). Nic ma łatwiejszego przedsięwzięcia od łowienia nieścisłości w przekładach utworów wierszowanych. Żak, umiejący po angielsku, może z tryumfem zawołać: A kto to Mickiewicza nauczył, że „Oh servile offspring of the free“ znaczy: „Ty z duchów orlich wyrodzony płazie, na Leonida gnieżdżący się głazie?“ Ani bowiem płaza, ani głazu, ani Leonida w oryginale nie ma. A ten lup krytyczny bynajmniej nie obali faktu, że przekład *Giaura* jest arcydziełem. Polowanie na błędy i odstępstwa — to dopiero korekta, krytyka polega na ścisłem oszacowaniu całkowitej wartości dzieła. Tymczasem kto czyta rąbaniny p. Święcickiego, gotów bez innych objaśnień mniemać, że patrzy na płatanie półgłówków, że Kalderona tłomaczył nie kandydat do katedry języków romańskich w uniwersytecie, ale ochotnik, który kształcił się w tutejszym konsulacie hiszpańskim. Gdyby to był objaw wyjątkowy, przeszlibyśmy mimo niego, ale niestety, ta fabryka wiórów i trocin krytycznych, te rozszarpywania prac zębem Zoilowym, ta pogoń za błędami — szykana lub drobiazgowe zrzędzenie coraz bardziej zagłusza u nas sądy szerokie, głębokie i sprawiedliwe. Dopóki krytyka będzie u nas dzbanem żółci lub kadzielnicą, niech czas porozbija o płoty wszystkie jej naczynia. Bo chociaż ona dogadza potrzebom jednostkowym i stanowi *circenses* chwili, dla literatury nie ma żadnego znaczenia.

W październikowym zeszycie *Ateneum* czytam: „dr. T. Ziemba pracuje nad nowym przekładem *Iliady*.“ Wiadomość ta niezmiernie mnie ucieszyła. Ponieważ posiadamy już kilka tłomaczeń *Iliady*, a ostatnie Szmurły, wydane nakładem Kasy Mianowskiego, według jej *Sprawozdania* nie znalazło nabywcy nawet dla jednego egzem-

plarza, więc powinniśmy—jeszcze raz przetłomaczyć *Iliadę* i wydrukować ją kosztem Kasy Mianowskiego. Nie sądźcie czytelnicy, ażeby na tem ogniwie skończył się łańcuch przyjemności. Dr. Ziemba dowiedzie, że wszystkie przekłady poprzednie były ułomne a dopiero jego — należyty. Ale to nic a nic nie przeszkodzi komuś za dwa lata znowu przetłomaczyć *Iliadę*, znowu dowieść, że wszystkie przekłady dawniejsze były liche, znowu zażądać na ten cel pieniędzy od Kasy Mianowskiego— i tak dalej aż do chwili wyrównania się temperatury we wszechświecie, jeżeli tego czasu dożyjemy. Zresztą w obecnym wypadku należy uwzględnić jedną bardzo ważną okoliczność. W księgarni Wendego, trzymającej na składzie głównym wydawnictwa Kasy, wybuchł niedawno ogień, który je uszkodził i podobno— pierwszy w Warszawie — złakomił się na *Iliadę* Szmurły. Niech los oszczędzi szanownej firmie podobnego nieszczęścia, ale przeciw nowemu u niej pożarowi winniśmy się ubezpieczyć i mieć w pogotowiu zapasowy przekład *Iliady*.

P. Śnieżko-Zapolska, aktorka i nowelistka chciała otruć się a uratowana znajduje się — jak słychać — dotąd w niebezpieczeństwie. Pewien pisarz francuski powiedział, że samobójca jest potwarcą własnego życia. Musiał jednakże ten filozof ważyć 200 kilkadziesiąt funtów, mieć bogatego ojca lub teścia i nie czuć innego bólu, prócz cierpień przeładowanego żołądka, bo przeciwnie samobójca jest sprawiedliwym sędzią swego życia: wtedy je przecina, gdy dopuściło się względem niego najstraszniejszych okrucieństw. Dobrowolnie schodzi ze świata tylko męczennik, rozpięty na torturach i zgnieciony brzemieniem losu potępieniec, człowiek, którego niedola tak odarła ze szczęścia, że biedny Łazarz nie ma czem nawet wyżywić najwytrwalszego w głodzie ze wszystkich instynktów — samozachowawczego. To też pani Zapolskiej życzę powrotu do życia, ale pod lepszą gwiazdą.

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

Z Rygi odbieramy list następujący:

W 38 nr. *Prawdy* zamieszczona była korespondencya z nad Bałtyku, która między innemi wspomina o tutejszem Towarzystwie śpiewackiem „Auszra." Wierząc bardzo, że szanowny korespondent tylko zaufał błędnej informacyi i pisał w dobrej wierze, czuję potrzebę publicznego sprostowania wiadomości, które szkodzić mogłyby naszemu Towarzystwu, i są nieprawdziwe.

Towarzystwo, według korespondenta, kilka lat temu założone przez *politechników*, wiodąc teraz samoistne życie, zdradza cechy upadku, spowodowane obniżeniem zadań itd. Oświetlając takim sposobem sprawy „Auszry," p. A. R, robi jej w końcu wymówkę za śmieszne wynoszenie się przed mniejszą bracią wyrobników, unikających teraz Towarzystwa. Ma ta opowieść tyle pozorów prawdy, że ją nieraz spotykaliśmy na miejscu, podawaną przez ludzi, lubiących powtarzać za panią matką pacierz. Lecz oto, jak się rzecz miała. Śpiewackie Towarzystwo „Auszra" założone było nie przez politechników, ale przez pewne grono ludzi, których przywódca p. M. chciał jej nadać cele utożsamiające ją z imienniczką towarzystwa gazetą zagraniczną. Jednak już w samym zawiązku „Auszry," członkowie jej mieli mało zaufania do swego przywódcy, a kiedy ten się usunął, zaprosili do steru ludzi nowych, z których kilku dotąd bez przerwy piastuje różne obowiązki. Nowi kierownicy starali się prowadzić je zgodniej z istniejącym już od wieków prądem. Zawezwali oni, bardzo słusznie, do pomocy młodzież politechniczną, która też nadzwyczaj energicznie i ochoczo wzięła się do pracy. Odrazu programy wieczorów ożywiły się, biblioteka zaczęła wzrastać itd. słowem, gdyby „Auszra" wciąż mogła kroczyć po tej drodze, zasługi jej dziś byłyby może niespożyte. Cieszyły się serca patrzących na szybki wzrost Towarzystwa, bo nie rozumiano jeszcze, że wzrost to tylko pozorny, że słabszą w nas jest spójnia języka od rozdzielenia klasowego. Żadne społeczeństwo nie jest może tak mało uzdolnione do wspólnej pracy, jak nasze. Gdybyśmy to uzdolnienie posiadali, już nie mówię, jak amerykanie, ale jak ludy daleko więcej na wschód posunięte, to nasze Towarzystwo, przy 2,000 z górą nas, tu osiadłych (nie 10,000, jak z mylnych źródeł czerpie p. A. R.) raz utworzone mogło by być pewnem o swoje istnienie i rozwój. Lecz tego jednomyślnego ciążenia do jednego społecznego pożytku było nam i jest zawsze brak.

Najgorszem w „Auszrze" było to, że liczba członków wyrobników, dlaktórych Towarzystwo powstało, nietylko nie zwiększała się lecz malała. Wyrobnicy nasi odczuwają dotąd bardzo małą potrzebę stowarzyszeń i w innych miastach. Materyalne ich położenie nie świetne, nic więc dziwnego, że napół głodny wyrobnik szuka naprzód *panem*, mniej dbając o *circenses*, które tylko zbytek wczasu nasuwa na myśl człowiekowi. W charakterze protektorów zapisywało się tu i „państwo," póki nowość bawiła. Tak zwane „państwo" składa się: 1) z zamożnych właścicieli ziemskich i 2) z bogato uposażonych urzędników. Pierwsi, przyzwyczajeni do bezczynnego i samotnego bytowania na wsi, czują wstręt do ruchu, wiodą życie w domowem zaciszu, i towarzystwa wszelkich odcieni są dla nich zbyteczne. (Pożyteczną działalność ujawniają oni tylko pod wezwaniem religii). Drudzy — na samą propozycyę zajrzenia do Towarzystwa starają się wcale nie dwóznacznie unikać natręta. Córeczki ich mówią: „Papa *zaprzecza* chodzić nam do *zebrań gdziebyto niebyło.*" (Są i wyjątki). Z trzech zatem żywiołów, składających „Auszrę," ten wziął górę, który był najliczniejszy i najwytrwalszy. On, naturalnie, musiał mu nadać cechy, które są wyłączną jego właściwością. Usunięcie się „protektorów" nie przyczyniło Towarzystwu znacznego (ani liczebnego, ani umysłowego) uszczerbku. Ale za to hurtowna emigracya politechników pozbawiła „Auszrę" jej, że tak powiem, bojowych i zaczepnych sił. Usunięcie się studentów było odwetem za odebranie im praw prawie półgospodarskich w Towarzystwie. Z praw tych niektórzy, dzięki swojej lekkomyślności, korzystali zbyt... poufale. (Wprowadzanie niepożądanych gości). Nadużycie zdarzyło się raz, czy dwa, zgorszyło ono jednak familijnych członków Towarzystwa, i ci prosili zarząd o rozciągnięcie baczniejszej kontroli nad postępkami zawsze mile tu widzianej młodzieży. Był to zapewne fakt, o którym wspomina szan. korespondent, mylnie nazywając go *bałamuceniem państwa*, niby na dowód słuszności usunięcia się państwa, które „nie żeniąc się, wyrządza szkodliwe współzawodnictwo wyrobnikowi." Zdaje się, że tu każdy widzi grubą omyłkę korespondenta.

Tak więc „Auszra" stała twardo na średniej klasie (drobnych kolejowych i niekolejowych urzędników, kupców i rzemieślników). Musiała ona stracić pierwotne cechy, bo i zadania jej były odmienne i wiedzie „samoistne" życie, jak chce szan. korespondent, co ma znaczyć, że politechnicy z niej się usunęli. Ale chociaż nikt by tu teraz nie prosił studentów o przewodnictwo, wszyscy jednak żałują, że ten żywy, wesoły i młody żywioł usunął się od społecznej nawet, lekkiej pracy. Brakiem czasu (jeden wieczór na miesiąc) wymawiać się — wstyd; a cierpią na tem programy przedwieczorowe, na które nieraz zarząd, nie posiadając sił w własnem kole, zmuszony jest wzywać byle kogo, aby tylko jakiś numerek do programu wlączyć. Tylko politechnicy niekorporanci są stałymi sprzymierzeńcami „Auszry." Oni prawie wyłącznie dźwigają chór Towarzystwa; ale niekorporanci są nieliczni, to i chór Towarzystwa śpiewackiego jest nad wyraz słabiutki. (Udział jednego korporanta w chórze jest także wyjątkowym wyjątkiem, że o nim nie mówię). Liczny zasiłek świeżych choć niewprawnych głosów wzmocniłby nietylko zastęp chóralny, ale przyspożyłby i owych głównych źródeł pożytku, o których mówi szan. korespondent. Nasza skromna biblioteka rośnie tak, jak wzrasta i zapał do pracy w członkach „Auszry" po przeniesieniu Towarzystwa do nowej, mniej zależnej siedziby. Powstają nowe pożyteczne projekty, mające uwzględniać potrzeby szerszej publiczności, ale są jeszcze projekty. Dziś, ogólnie biorąc, pożytek Towarzystwa jest widoczny. Co zaś do usuwania się „inteligencyi," jakoby przez obawę „zbałamucenia" tutejszych panienek, jak się boi szan. korespondent, to ta obawa jest poprostu śmiesznością, wzbudzającą politowanie i wesołość w członkiniach Towarzystwa.

B. S.

BROSZURA M. MACKENZIEGO.

Długo oczekiwana odpowiedź Mackenziego na wymierzone przeciw niemu zarzuty lekarzy angielskich nareszcie wyszła z druku po angielsku i niemiecku w setkach tysięcy egzemplarzy — dawno zamówionych. Jakkolwiek znamy ją jedynie z obszernych streszczeń, przyznać trzeba, że jest uderzeniem maczugowem i że autor miał słuszność położyć na niej godło z Shakespeare'a: „zważcie, jak szczera opowieść was powali." Jak dalece cios ten jest mocnym, widzimy stąd, że rząd niemiecki skonfiskował książkę z powodu „obrazy majestatu," chociaż w niej mieści się tylko wykład choroby, opis jej rozwoju i dowody nieznajomości rzeczy oraz niesumienności doktorów niemieckich. Pp. Bergman, Braman i Gerhardt okryci zostali nietykalnością majestatu.

Żaden z tych panów — według Mackenziego — nie miał racyi bytu przy łożu chorego, gdyż żaden nie zajmował się specyalnie laryngologią lub też nie był w niej powagą pierwszorzędną. Jeszcze w styczniu 1887 r. następca tronu cierpiał na kataralne zapalenie krtani połączone z chrypką. Na lewej strunie głosowej utworzyła się narośl, którą Gerhardt bezskutecznie usiłował usunąć zapomocą galwanicznej kauteryzacyi i ostrych narzędzi. Mankenzie przy pierwszem badaniu i konsultacyi spostrzegł ją w postaci rozłupanego ziarnka grochu. Gerhardt z Toboldem oświadczyli, że choroba nie jest rakiem; Bergman wyraził się wątpliwie. Nadto pierwsi wyznali, że nie podejmują się wyjąć narośli. Mackenzie zdumiony tem wyznaniem, gdyż „laryngolog, nieumiejący używać obcążków, podobnym jest do cieśli, nieumiejącym obchodzić się z piłą," sam dokonał operacyi dla przesłania wydobytej cząstki Virchowowi. Książe w rozmowach wielokrotnie oburzał się na Gerhardta za jego partackie leczenie, a księżna—na innych lekarzy niemieckich, którzy chcieli na jej mężu robić nożem badania „wywiadowcze." Podczas drugiej operacyi, gdy Mackenzie wsadził do gardła obcążki, a nie mogąc ich szybko otworzyć, wyjął i tego dnia drugi raz nie chciał wprowadzić, Gerhardt oskarżył go o naruszenie struny głosowej. „Utrzymuje on— pisze Mackenzie— że na uwagę jego odpowiedziałem: *It can be.* Angielscy czytelnicy mnie zrozumieją, że podobnych wyrazów użyć nie mogłem" (po ang. *it may be* — być może). Lekarz angielski, nie przecząc możliwości rozwinięcia się raka, przeczył tylko jego dowiedzionemu istnieniu i pozostawiał stanowcze rozstrzygnięcie analizie mikroskopowej — Virchowowi. D. 8 czerwca zrobił trzecią operacyę i wyjął połowę narośli, której Virchow nie uznał za raka. „Jeżeli pomimo to — powiada Mackenzie — Bergman i Gerhardt nie godzili się na to, obowiązkiem ich było otwarcie wyjawić się z pod ogólnej uchwały. Tymczasem oni przyjęli ją, przynajmniej *pro foro externo*, a tem sa-

mem wzięli na siebie wespół ze mną odpowiedzialność. Jeżeli Gerhardt i Bergman mieli podówczas przekonanie, że chory cierpi na raka, a nie wierzyli w moją naukę, to jedyna uczciwa droga, jaka się otwierała przed nimi, nakazywała im otwarcie ze mną zerwać i złożyć raport bezpośredni u góry. Dowodząc, że lekarze niemieccy dzielą się ze mną odpowiedzialnością, nie zamierzam bynajmniej ani cząstki jej zepchnąć z siebie; pragnę oświetlić tylko podstępny charakter tych ludzi, z którymi wypadło mi działać." Następnie Mackenzie stawia Gerhardta pod bardzo ciężkiem oskarżeniem, bo niemal czyni go sprawcą śmierci następcy tronu. „Jeżeli — tak rozumuje on—narośl pierwotnie była dobrotliwą, natenczas aż nadto jest podstaw do przypuszczenia, że wskutek ustawicznych stosowań przez Gerhardta metody galwanożarowej przekształciła się w raka; jeżeli zaś od początku była rakiem, natenczas choroba wskutek takiego traktowania chorych części niewątpliwie się pogorszyła."

W Anglii zdrowie chorego poprawiło się znacznie a Virchow znowu przy rozbiorze nie dostrzegł raka. Przeniesiono księcia — wbrew radzie Mackenziego — do Szkocyi, gdzie wystąpiły objawy groźne. W listopadzie wyjechał do San Remo. Tu narośl zupełnie zmieniła charakter i ujawniła cechy złośliwe. „Nie powstając z krzesła — pisze Mackenzie — oświadczyłem niezwłocznie następcy tronu, że w stanie jego krtani zaszła bardzo niepomyślna metamorfoza. Zapytał: „Czy rak?" Odpowiedziałem: „Boleję nad tem, że muszę wyznać: wygląda na to; pewnym wszakże być niepodobna." Chory przyjął oświadczenie to z zupełnym spokojem. Po chwili milczenia ujął mnie za rękę i rzekł z łagodnym uśmiechem, który tak wymownie tłomaczył tkliwość a zarazem siłę jego charakteru: „Obawiałem się tego od pewnego czasu. Dziękuję ci, sir Morelu, za szczerość."

Zwołano wielką naradę lekarzy na 9 listopada. W hotelu „Mediterranée" zgromadzili się Mackenzie, Hovell, Schroetter, Krause i Schmidt. Naprzód zdali sprawę Mackenzie i Hovell z przebiegu choroby i leczenia. Pierwszy z nich opisał następnie wygląd nowej narośli i zamknął słowami: „*Ten* nowotwór wydaje się być rakiem." Schroetter oświadczył, że po tak jasnym wywodzie Mackenziego ani chwili o istnieniu raka nie wątpi; nie potrzebuje nawet oglądać chorej krtani. „Podziękowałem — mówi Mackenzie—profesorowi wiedeńskiemu za jego tak pochlebne uznanie moich opisowych zdolności, pozwoliłem sobie wszelako zauważyć, że nie po to podejmował daleką i uciążliwą drogę z Wiednia, aby ofiarował choremu dyagnozę z drugiej ręki. Prof. Schroetter udał się przeto do willi Zirio; po zbadaniu gardła następcy tronu chciał on dyktować orzeczenie *ex cathedra*; ponieważ jednak istniały pomiędzy nim, mną i Krausem pewne różnice zdania, postanowiono, że każdy osobno złoży swój głos. Schroetter orzekł, że rak, i zalecił zupełne wyjęcie krtani (*exstirpatio*). Ja stwierdziłem raka, zauważyłem wszelako, że w braku dowodów mikroskopowych dyagnoza nie może być stanowczą. Dr. Schmidt bronił silnie zdania, że choroba może być wynikiem zarażenia, które od dawna mogło nurtować organizm chorego. Prof. Schroetter przerwał dosyć gorąco Schmidtowi uwagą, że taka dyagnoza trąci plotkarstwem starych bab. Wszyscy lekarze proszeni byli usilnie przez hr. Radolińskiego, ażeby orzeczenia swoje trzymali w tajemnicy. Zdziwili się przeto niemało, gdy w parę dni później *Reichsanzeiger* ogłosił nawet biuletyn prywatny lekarzy, którzy go przeznaczyli wyłącznie dla cesarza niemieckiego."

Do najcięższych i najszkodliwszych w skutkach omyłek zalicza Mackenzie złe i nieumiejętne wprowadzenie rurki przez Bramana, oraz brutalne zachowanie się Bergmana, który wogóle postępował jak zuchwały natręt, a w tej sprawie nieuk. Ostatecznym wnioskiem autora jest twierdzenie, że projektowana w maju 1887 r. laryngofissura mogła szkodliwie tylko oddziałać na chorobę następcy tronu; że on metodą swoją przedłużył cesarzowi Fryderykowi życie i byłby je przedłużył jeszcze bardziej, gdyby Gerhardt przez swą kuracyę galwanożarową, Bergman i Braman przez swoją fałszywie prowadzoną kuracyę dopełniającą i przez złe rurki, a wreszcie Bergman przez swe niedołężne i niesforne zachowanie się w d. 12 kwietnia przynajmniej o rok życia cesarskiego nie skrócili.

Obok dowodów obrony własnej i oskarżeń fuszerki niemieckiej, Mackenzie zastanawia się nad sposobami i wynikami leczenia raka w gardle. Według niego, metoda półśrodków zapewnia około 2 lat życia, metoda zaś radykalna (chirurgiczna) daje zaledwie 2% wyzdrowień.

O zmarłym wyraża się on z czcią nadzwyczajną. „Ci tylko — powiada — którzy stali blizko cesarza, wiedzą, ile świat w nim stracił. Nie można go było poznać, a nie ukochać; kto go zaś poznał zupełnie, ten musiał uczcić w nim jednego z najszlachetniejszych i najwznioślejszych ludzi wieku. Szczególnie uderzyła mnie w cesarzu naturalna prostota i ta jasna, przezrocza nieskazitelność męzkiego ducha. Nigdy nie udawał pozorów nauki, jeżeli jej nie posiadał; skromnym był zawsze wobec osób, którym przypisywał wiedzę większą od swojej. Jakkolwiek silny w czynie, gdy konieczność czynu nadeszła, naturę miał przeważnie kontemplacyjną, umysł przeważnie badawczy. Najbardziej męzki ze wszystkich duchów męzkich, posiadał tkliwość i czystość duszy kobiecej. Zstępując do grobu, pozostawił po sobie pamięć niepokalanego życia i pięknego zgonu."

Czy te słowa uznano za „obrazę majestatu"?

Dodać winniśmy, że w zamian za zrzeczenie się ogłoszenia kartek Fryderyka III, popierających dowody broszury, cesarzowa napisała do Mackenziego i pozwoliła mu wydrukować w gazetach list, w którym wystawia świadectwo najzupełniejszej wiarogodności jego słowom, o ile one przez nią sprawdzone być mogą. Najważniejszem jest jej przyznanie, że Mackenzie odrazu zapowiedział możliwość przerodzenia się narośli w raka.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Biuro statystyczne tworzy się przy kancelaryi generał-gubernatora warszawskiego. Stanowi ono oddział głównego wydziału statystycznego ministeryum spraw wewnętrznych, rozpocznie działalność swoją od nowego roku. Dotyczyć będzie całego Królestwa.

Senat rządzący wyjaśnił, iż w myśl art. 910 ustawy procedury karnej, kaucya kasacyjna w sprawach kryminalnych nie powinna być pobierana od tych wszystkich podsądnych, którym grozi kara kwalifikowana, tj. połączona z pozbawieniem lub ograniczeniem praw.

Sprawy fabryczne. Dla ubezpieczenia robotników w warszawskim oddziale Tow. „Rosya" na wypadek śmierci lub nieszczęśliwego wypadku, przystąpiły fabryki: warszawska Marcina Warzyckiego ze 150 robotnikami, włocławska Leona Bujańczyka — 150, grodzka Stanisława Ciechanowskiego (kopalnie węgla) — 260, Leona Rappaporta w Zawierciu — 120, kaliska Emila Rephana — 250 i łódzka Ferd. Tytzena — 40.

— Kupiec warszawski F. ubezpieczył swych wszystkich (30) pracowników i składki roczne zobowiązał się wnosić z własnych funduszów.

— Fabrykant tomaszowski, Bernstein, za niezachowanie przepisów o małoletnich robotnikach, został pociągnięty przez inspekcyę fabryczną do odpowied zialności karnej. Sędzia pokoju wydał zaoczny wyrok, skazujący fabrykanta na 50 rs. kary.

Towarzystwo gimnastyczne, projektowane w Warszawie, zaczyna przychodzić do skutku. Ustawę oddano już do zatwierdzenia władzy. Każda osoba bez różnicy płci, byleby pełnoletnia, może zostać członkiem. Wpisowe 5 rs., składka miesięczna 50 kop. Fundusze stąd powstałe pójdą na utrzymanie sali i ogródka gimnastycznego, oraz do zakładania filij na prowincyi.

Wydalenie. Przez biura naczelników powiatów nieszawskiego i włocławskiego, dzierżawcy majoratów obcego pochodzenia, bez względu na narodowość, otrzymali rozporządzenie, aby oddali dzierżawy swoje i opuścili kraj w ciągu czterech tygodni.

Konkurs. W Paryżu ogłoszono nagrodę 4,000 fr. za najlepszy utwór fortepianowy. O nagrodę, przeznaczoną z funduszów Karola Volenten, mogą się ubiegać wszyscy, bez różnicy pochodzenia.

Na karę śmierci wydział sądu wojennego wileńskiego skazał trzech włościan w Nowogródku za zabicie ekonoma w dobrach hr. Chreptowicza.

P. Zofia Muszyńska, polka, otworzyła we Florencyi skład kwiatów sztucznych, z wielkiem powodzeniem. Jeden z dzienników włoskich wyraził się bardzo przychylnie o tym zakładzie.

Epidemie. W pow. bałckim, gub. podolskiej, szerzy się biegunka i błonica. We wsi Bundarowie umiera dziennie 6—8 dzieci. To samo niemal w innych wsiach. Brak lekarza; najbliższy w Bałcie o 30—50 wiorst od dotkniętych chorobą wiosek.

Nagrody. Z wystawy urządzonej podczas zjazdu przyrodników we Lwowie, warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne otrzymało za *Wiadomości farmaceutyczne* medal srebrny. Także medale dostali: pp. E. S. Świeżawski i K. Wende za zebranie „Materyałów do dziejów farmacyi w dawnej Polsce." Trzciński i Urbanowicz za wyroby aptekarskie. Dyplom honorowy za prace naukowe w dziedzinie hygieny — A. Bukowski.

Zjazd strażacki w połączeniu z wystawą przyrządów ratunkowych. Proponowane są dwa miejsca: Moskwa i Warszawa. Celem zjazdu będzie: 1) narada w przedmiocie najlepszego urządzenia straży ogniowych; 2) w jaki sposób możnaby zakładać straże ochotnicze tam, gdzie ich jeszcze niema; 3) opracowanie normalnej ustawy, obowiązującej dla wszystkich straży ochotniczych; 4) rewizya przepisów, dotyczących bezpieczeństwa ogniowego i wyjednanie w drodze prawodawczej potrzebnych zmian w tym kierunku; 5) zbadanie rozmaitych przyrządów ratunkowych i wydanie opinii co do ich użyteczności; 6) założenie kas wsparcia i pomocy dla strażaków lub wogóle osób, które przy gaszeniu ognia poniosły kalectwo.

Gorzelnictwo. *Nowości* donoszą, że ministeryum skarbu odrzuciło wniosek przeprowadzenia w r. b. ważnych zmian w obowiązujących przepisach gorzelniczych. Obecnie na porządku dziennym jest tylko sprawa ulg gorzelni rolniczych.

Cło. Senat wyjaśnia, że jako termin clenia towarów należy uważać rok, pod warunkiem, że od towarów, które przyjęte są do oclenia za złożeniem depozytu lub kaucyi w stałych terminach, będą opłacane cła według dawniejszego obrachowania, bez żądania podwyższonych ceł, jeżeli nawet podwyżka nastąpi przed uiszczeniem całej należności.

— Komisya zajmująca się rewizyą taryf, postanowiła podwyższyć cło od czcionek drukarskich, przywożonych z zagranicy, z 40 kop. do rubla w złocie od puda. Jednocześnie mają być zniesione pozycye taryfowe, tyczące się zagranicznych wyrobów z ołowiu, cynku i aliażów, używanych w drukarstwie.

Szkoły. Ministeryum oświaty rozesłało cyrkularz kuratorom okręgów naukowych, w którym wyjaśniono, że w miejscowościach, gdzie żydom nie wolno się osiedlać, zabroniono także otwierania szkół żydowskich.

— Na dziekana wydziału fizyczno-matematycznego w tutejszym uniwersytecie wybrany ponownie Mikołaj Sonin.

— Prof zoologii, Wrześniowski, po 30 latach służby ustąpił, na jego zaś miejsce mianowany został Paweł Mitrofanow.

— Tutejsze zakłady naukowe prywatne złożyć mają do 1 listopada r. b. w dwóch egzemplarzach rozkład przedmiotów. Liczba lekcyj ma odpowiadać planowi nauk w zakładach rządowych.

W Poznaniu przed Izbą karną sądu ziemiańskiego stawali: dr. Jerzykowski i F. Chociszewski, oskarże-

ni, pierwszy jako bibliotekarz Towarzystwa czytelni ludowych, drugi jako nakładca, o rozszerzanie dwóch książeczek: „Raciczki“ i „Szczęście w Ameryce,“ w których prokuratorya dopatrzyła ustępów, zagrażających pokojowi publicznemu. Oskarżeni uwolnieni zostali od winy i kary, zawyrokowano jednak konfiskatę rzeczonych powiastek.

Bibliografia. W Moskwie wyszedł przekład ruski komedyi Fredry *Wielki człowiek do małych interesów.*

— *Kalendarz powszechny*, od lat kilku stale ukazujący się, wyszedł z druku.

— Dr. Ksawery Gałęzowski, znakomity oftalmolog, zamieszkały w Paryżu, opracował razem z dr. Knopfem i wydał w języku francuskim dzieło p. t. *L'hygiéne de la vue* (Hygiena wzroku), opatrzone 44 rysunkami.

Pobór do wojska. Urzędy poborowe otrzymały z ministeryum polecenie, iżby po dokonanym poborze potrzebnej liczby rekrutów zrewidowano stan zdrowia pozostałych popisowych (z wyjątkiem posiadających ulgi rodzinne 1-ej kategoryi).

Zmarli. W Paryżu Stanisław Żurkowski z Warszawy, lat 25. Dziennikarz.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Октября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.